

Księżycowy cień

Tomasz Lewicki

Copyright © 2001-2003 by Tomasz Lewicki

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żaden fragment tej książki nie może być reprodukowany ani powielany w jakikolwiek sposób, zarówno w całości, jak i w fragmentach, bez wcześniejszej pisemnej zgody autora.

Książka pochodzi ze strony <http://stalker.republika.pl> i jest przygotowana specjalnie do czytania z ekranu monitora. Jeśli chciałbyś dostać wersję nadającą się do druku – napisz do mnie na adres stalker@poczta.onet.pl

Fotografie z tej wyprawy oraz zdjęcia zaćmienia znajdziesz na stronie Stowarzyszenia Astronomii Amatorskiej „Solaris” –

<http://www.solaris.z.pl>

*Niniejszą książkę dedykuję Panu prof. dr hab. Henrykowi Cugierowi
z Instytutu Astronomicznego Uniwersytetu Wrocławskiego
w podziękowaniu za pomoc w zorganizowaniu wyjazdu...*

*... oraz moim Przyjaciółom z „najpiękniejszego miejsca na najfajniejszym ze
światów”, których na Czarnym Łądzie bardzo mi brakowało.*

Spis treści

1 Dzień 1 – 10. czerwca, niedziela	6
2 Dzień 2 – 11. czerwca, poniedziałek	8
3 Dzień 3 – 12. czerwca, wtorek	11
4 Dzień 4 – 13. czerwca, środa	19
5 Dzień 5 – 14. czerwca, czwartek	23
6 Dzień 6 – 15. czerwca, piątek	29
7 Dzień 7 – 16. czerwca, sobota	31
8 Dzień 8 – 17. czerwca, niedziela	35
9 Dzień 9 – 18. czerwca, poniedziałek	41
10 Dzień 10 – 19. czerwca, wtorek	46
11 Dzień 11 – 20. czerwca, środa	51
12 Dzień 12 – 21. czerwca, czwartek – DZIEŃ ZAĆMIENIA	53
13 Dzień 13 – 22. czerwca, piątek	63
14 Dzień 14 – 23. czerwca, sobota	67

15 Dzień 15 – 24. czerwca, niedziela	69
16 Dzień 16 – 25. czerwca, poniedziałek	71
17 Dzień 17 – 26. czerwca, wtorek	77
18 Dzień 18 – 27. czerwca, środa	79
19 Dzień 19 – 28. czerwca, czwartek	81
20 Dzień 20 – 29. czerwca, piątek	83

Wstęp

Poniższy opis stanowi odtworzony z pamięci dziennik naszej podróży do Zambii na całkowite zaćmienie Słońca 21. czerwca 2001 roku. Oryginał zaginął w ostatnim dniu naszego pobytu w Lusace (stolicy Zambii) wraz z plecakiem, w którym były także notatki dotyczące wykonanych przez nas fotografii z filtrem polaryzacyjnym, zdjęć w świetle białym, atlas nieba oraz teleobiektyw Sigma 400 mm, należący do Toma. Ogólnie wiadomo, że ludzka pamięć jest zawodna. W związku z tym relacja jest miejscami niepełna, gdyż przeżyć i przygód było tak wiele, że ich codzienne zapisywanie było koniecznością, a zwłoka w aktualizacji rzędu dwóch – trzech dni powodowała, że odtworzenie biegu wszystkich wydarzeń, o których chcielibyśmy napisać lub zaledwie wspomnieć, było bardzo trudne.

W opisie wyprawy staraliśmy się zawrzeć informacje, które uznaliśmy za przydatne ewentualnym turystom, m. in. ceny różnych artykułów i usług, wyszczególnienie kosztów biletów wstępu, kosztów wynajmu samochodu, noclegów, informacje o lokalnych warunkach itp., ale i rzeczy mniejszej wagi, które z jakiegoś powodu nam wydały się istotne bądź ciekawe (bo kogo zainteresuje np. miesięczny zarobek policjanta w Zambii?). Jeśli nie znajdujesz tutaj odpowiedzi na swoje pytanie – napisz do mnie lub zajrzyj na stronę WWW Stowarzyszenia Astronomii Amatorskiej SOLARIS (<http://www.solaris.z.pl>) bądź moją prywatną (<http://stalker.republika.pl>), na pewno odpowiem.

W rolach głównych:

Tomek zwany także Tomem – członek „Solaris”; pracownik Polskiego Komitetu Normalizacyjnego w Katowicach

Iwona – lekarz dermatolog z Żyrardowa

Bohdan – lekarz stomatolog z Łodzi

Jacek – lekarz, specjalista chorób tropikalnych i medycyny morskiej z Łodzi¹

Jola – pielęgniarka; Polka mieszkająca w Niemczech

Eckart – lekarz ginekolog z Niemiec

Miriam – córka Joli, wulkan energii – w przypadku porwania samolotu stanowiła by broń o takiej sile rażenia, że jednostka antyterrorystyczna byłaby zbędna ;)

ja – czyli Tomasz Lewicki, członek „Solaris”; student V roku astronomii na Uniwersytecie Wrocławskim²

¹Jacek zmarł zaledwie kilka dni po naszym powrocie do Polski.

²Studentem byłem w czasie pobytu w Afryce...

Rozdział 1

Dzień 1 – 10. czerwca, niedziela

Godzina 5 rano. Z płytkiego, niespokojnego snu wyrrywają mnie zimne, natrętne elektroniczne piski. Błyskawicznie wyłączam budzik i otwieram oczy. Za oknem już jasno. Dopiero teraz dochodzi do mnie, że dziś zaczyna się moja wielka podróż. Podróż w poszukiwaniu księżycowego cienia.

Kąpiel, śniadanie, ostatnia kontrola bagażu, pieniędzy i dokumentów. Czas ruszać – Afryka czeka. Ale Czarny Ląd zobaczę dopiero za dwa dni. Teraz muszę dostać się do Frankfurtu nad Menem, skąd jutro wieczorem „żelazny ptak” zabierze nas na wielką przygodę, do której przygotowaliśmy się niemal 2 lata.

Tomka spotykam w Legnicy. Czekają na mnie w pociągu, który zawiezie nas do Zgorzelca. Wręcza mi bilet lotniczy, którego załatwienie w ciągu ostatnich kilkunastu dni powodowało u mnie przyspieszoną akcję serca. Tomek opowiada mi o swoich „przygodach” z PKP. Cóż, dziś pierwszy dzień obowiązywania nowego rozkładu jazdy – nie mogło obejść się bez problemów i opóźnień, które biednego Toma przyprawiły o dreszcze, a o których nie warto tutaj pisać, bo niemal każdy zna je z własnego doświadczenia.

Jadąc pociągiem dyskutujemy oczywiście o tym, co nas czeka w ciągu najbliższych kilkunastu dni. Głównym tematem jest rzecz jasna ZACMIENIE. Zresztą to nic dla nas nowego – spotkanie Księżyca ze Słońcem na afrykańskim niebie jest tematem numer jeden od kilkunastu miesięcy – od ostatniego zaćmienia całkowitego, które oglądaliśmy na Węgrzech 11. sierpnia 1999 roku. Przeglądamy również stare egzemplarze magazynu podróżniczego „Voyage”, które Tom zabrał ze sobą, „bo nigdy nie ma czasu, by je przeczytać”. W jednym z numerów – ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu – znajdujemy wzmiankę o Fromborku i – mocno zakamuflowaną, czytelną tylko dla niektórych – „Wakacjach w planetarium”, czyli nas. Fakt ten napawa nas radością; wycinek z magazynu pieczęlowicie za-

chowujemy.

Zgorzelec – ostatnia stacja kolejowa po polskiej stronie. Dopiero po chwili orientujemy się, że pociąg dalej nie jedzie. Po uzyskaniu kilku wskazówek w myśl zasady „koniec języka za przewodnika” i „kto pyta, nie błądzi” (które ulegną pewnej weryfikacji w ciągu następnych 2 tygodni) trafiamy na przejście graniczne i dalej – na stację kolejową Deutsche Bahn w Görlitz. Po kilku minutach siedzimy już w pociągu. Jego wygląd mógłby być źródłem osobnego opisu. Ktoś, kto raz w życiu miał okazję jechać niemieckimi kolejami z pewnością zaświadczy, że ich jakość jest dokładną odwrotnością ich polskiego odpowiednika. Najprościej można to streścić mniej więcej tak: polskie Inter-City przeniesione na linię lokalną.

Wybraliśmy niedzielę, by móc skorzystać z możliwości tańszego przejazdu przez Niemcy. Jedziemy na tzw. „Schönes-Wochenendticket” kosztującym 40 DM, dzięki któremu do 5 dorosłych osób może jechać wspólnie od północy w sobotę (niedzielę) do 3 rano w niedzielę (poniedziałek) niektórymi pociągami. Szczegółowe informacje na temat połączenia uzyskaliśmy z Internetu oraz na stacji w Görlitz. Po drodze mamy kilka przesiadek: w Dreźnie, Lipsku (największy dworzec kolejowy w Europie), Halle i Kassel. Ostatni przystanek – Frankfurt nad Menem. Wsiadamy z pociągu po niemal 12 godzinach jazdy przez Niemcy. Dochodzi godzina 23:00. Do odlotu z Europy mamy jeszcze zatem niemal okrągłą dobę – startujemy jutro, w poniedziałek, o 22:20.

Tymczasem postanawiamy zwiedzić kawałek nocnego Frankfurtu. Zostawiamy plecaki w dworcowej szafce na bagaże (4 DM/doba) i ruszamy. Spacerujemy nadrzeczными bulwarami, ale czujemy narastające zmęczenie. W końcu zmieniamy początkowy plan całonocnego krążenia po mieście i zapada decyzja: szukamy noclegu. Ponowna seria pytań – i trafiamy do schroniska młodzieżowego „Haus der Jugend” (Deutschherrnufer 12) – drogiego, jak na młodzieżową, niezbyt pojemną kieszeń. Nocleg kosztuje bowiem 35 DM (ze śniadaniem). Jest bardzo przyjemne. Dostajemy miejsce w ośmioosobowym pokoju z piętrowymi łózkami. Dostępu do pokoju broni zamek kodowy, odblokowywany otrzymaną w recepcji kartą magnetyczną, która jest ważna do rana. Jeśli chcielibyśmy przedłużyć pobyt, musielibyśmy ją przekodować – oczywiście po uiszczeniu opłaty za kolejną dobę. Nie mamy się jak umyć, bo wszystko zostało w plecakach na dworcu. Rozbieramy się zatem i niemal natychmiast zasypiamy.

Rozdział 2

Dzień 2 – 11. czerwca, poniedziałek

Budzimy się rano i schodzimy na śniadanie. Po posiłku już mamy zamiar wyjść, gdy zauważamy, że zaczyna padać deszcz. Postanawiamy zatem przecze-kać go, chociaż Tomek namawia, by nie zważać na opady i iść do miasta. Kupujemy piwo (tak, tak – w schronisku!) i zasiadamy w przeszklonej, obszernej sali obserwując świat za oknem. Siedząc w cieple cieszymy się, że nie wyszliśmy ze schroniska. Na zewnątrz trwa ulewa, jaką rzadko ma się okazję oglądać. Oglądamy ludzi, którzy – jedni w pośpiechu, inni w pełnym zrezygnowania spokoju – idą przez ulicę, będącą teraz wartkim strumieniem; samochody z wycieraczkami nie nadążającymi zbierać wody z szyb, ciężkie chmury ciskające pioruny nad biurowym centrum miasta, ospałe muchy, kulki gradu na balustradzie... I nagle Tomek rzuca myśl: a jeśli przez tę ulewę będą opóźnienia w odlotach samolotów? Uspokajam go, ale gdzieś w środku przyznaję mu rację. A z nieba wciąż leje się woda – i nie sprawia wrażenia, że ma zamiar przestać. W końcu po ponad godzinie niebo nieśmiało zaczyna się przejaśniać, a po kolejnych kilkunastu minutach deszcz zanika. Możemy iść.

Zwiedzamy pobieżnie Frankfurt, cały czas pozostając w ścisłym centrum. Przypadkowo trafiamy do polskiego biura podróży, mieszczącego się niedaleko dworca kolejowego Frankfurt Hauptbahnhof. Jako że z Afryki wracamy w środku tygodnia, nie będziemy mieli możliwości taniego przejazdu przez Niemcy. Postanawiamy zatem kupić bilety autobusowe na 28. czerwca (Tomek płaci 100 DM za bilet normalny, ja 90 DM – ulga 10 % dla młodzieży poniżej 26. roku życia). Okazuje się, że zrobiliśmy słusznie, bowiem wiele miejsc na ten dzień jest już wykupionych i gdybyśmy nie dokonali zakupu teraz, prawdopodobnie nie mielibyśmy szans na szybki dojazd do Polski po przylocie z Afryki.

Zabieramy z dworca nasze bagaże i postanawiamy jechać na lotnisko, mi-

mo że jest jeszcze dosyć wcześnie. Dojazd okazuje się być bardzo łatwy i szybki (10 minut kolejką podmiejską S-Bahn; bilet jednorazowy kosztuje 6,10 DM). Port lotniczy jest ogromny, przetacza się przez niego masa ludzi, numery lotów i miejsca docelowe na tablicy odlotów zmieniają się jak w kalejdoskopie. Tutaj właśnie zaczynam spisywać dziennik podróży, który tak niefortunnie zostanie gdzieś w sercu Czarnego Łądu.

W ciągu kilku godzin przed odlotem pochłaniamy resztę jedzenia, które przywieźliśmy ze sobą z Polski. Około 19:00 spotykamy kolejnych członków naszej ekspedycji: Iwonę, Bohdana i Jacka. Powoli zaczynamy odprawę bagażową, zostają nam przydzielone miejsca w samolocie. Krótco przed 22:00 wchodzimy na pokład Boeinga 737 linii Ethiopian Airlines. Witają nas śliczne stewardessy, niektóre w strojach ludowych (te obsługują pierwszą klasę). Dla Tomka i mnie będzie to pierwsza podróż lotnicza w życiu. Szczęśliwym trafem dostały nam się wygodne miejsca tuż za przedziałem załogi, przy oknie, dzięki czemu swobodnie będziemy mogli obserwować świat pod nami.

Pierwszą rzeczą, którą zauważamy, jest sporych rozmiarów dziura w obudowie silnika. Wzbudza to w Tomku i mnie ochotę do śmiechu i żartów. Przypominamy sobie nawzajem filmy, w których głównym wątkiem jest katastrofa lotnicza.

Odlot opóźnia się. W pewnej chwili przez tłum pasażerów zaaferowanych zajmowaniem miejsc i umieszczaniem bagażu podręcznego przeciska się pracownik lotniska, podchodzi do nas i mówi, że „z bagażem pana Mazura jest coś nie w porządku”. W oczach Tomka widzę bezbrzeżne zdumienie. Wraca po kilku minutach z wiadomością, że pomyłono nasze (jego i moje) bagaże i to ja muszę udowodnić, że w moim plecaku nie ma bomby. Prześwietlenie wykazało bowiem, iż w bagażu znajduje się jakiś metalowy pojemnik. Zastanawiam się, co to może być: dezodorant, kubek? Pokazuję oba przedmioty, z trudem wydobyte z pieczołowicie spakowanego plecaka. W porządku, proszę się spakować – brzmi decyzja. Obok mnie Bohdan i Iwona opróżniają swój plecak – przyczyna jest identyczna.

Dopiero po oddaniu plecaka pracownikowi przypominam sobie, że mam tam jeszcze aluminiową menażkę i to zapewne z jej powodu rentgen podniósł alarm. Swoją drogą zastanawiam się, czy nie można byłoby uniknąć całego zamieszania już w momencie dokonywania odprawy bagażowej? Przecież wystarczyłoby tam właśnie umieścić aparat do prześwietlania bagażu i natychmiast wyjaśnić ewentualne wątpliwości, zamiast robić to gorączkowo tuż przed startem, opóźniając

odlot.

Startujemy kilka minut przed 23:00. Przyspieszenie samolotu na pasie wciska nas w fotel. Jeszcze kilka sekund – jesteśmy w powietrzu! Światła Frankfurtu zostają pod nami. Kierunek – Kair.

Rozdział 3

Dzień 3 – 12. czerwca, wtorek

Kolejny dzień rozpoczyna się nad wybrzeżem Egiptu, w dole widzę drgające światełka Aleksandrii, a na wschodzie powoli się różowi. Moją uwagę przykuwa Wenus, błyszcząca jak diament na czarnej draperii nieba. Spojrzałem na Tomka – śpi. Przez chwilę biję się z myślą „budzić go czy nie”, ale w końcu postanawiam dać mu spokój, chociaż jestem pewien, że nie daruje mi, iż nie dałem mu obejrzeć pierwszego afrykańskiego wschodu Słońca. Pomyślałem o zrobieniu zdjęć i zacząłem przygotowywać aparat. Czekam cierpliwie, obserwując grę barw na widnokregu: zimne granaty i czernie, przed chwilą lekko zaróżowione, zaczynają przeradzać się w coraz cieplejsze brązy, pomarańcze, czerwienie... Po kolejnych kilkunastu minutach zauważam Dzienną Gwiazdę dostojnie wznoszącą się nad wyraźnie już widocznej granicy lądu i nieba. Wschód nie wygląda jednak tak, jak zazwyczaj. Mam wrażenie, że Słońce wschodzi jakby przed linią horyzontu, jak dekoracja w teatrze. Jako wyjaśnienie przyczyny tego efektu przyjąłem wysokość, na jakiej się znajdowaliśmy (ok. 10 km) oraz obecność chmur.

Po około 20 minutach ze zdumieniem spostrzegam, że doskonale widzę Wenus, chociaż Słońce jest już dosyć wysoko na niebie. Prędko jednak o tym zapominam, gdyż zapalają się światełka nakazujące zapięcie pasów. Budzę Tomka – podchodzimy do lądowania w Kairze. Na pasie miękko siadamy już w pełnym świetle dnia. Po zabraniu nowych pasażerów, co trwa około godziny, startujemy do dalszego lotu. Kolejnym przystankiem jest Addis Abeba – stolica Etiopii.

Tutaj chciałbym uczynić małą dygresję na temat etiopskich linii lotniczych. Przeciętnemu Europejczykowi Etiopia kojarzy się z biedą, suszą, głodem, zacyfowaniem... Linie lotnicze tego afrykańskiego kraju są całkowitym zaprzeczeniem tej tezy. Byliśmy naprawdę zdumieni poziomem obsługi na pokładzie samolotów Ethiopian Airlines (wszystkie cztery loty odbyły się samolotami tego przewoź-

nika), ich czystością, jakością posiłków, urodą stewardess (na co jednak byliśmy przygotowani, jeśli można to tak ująć), umiejętnościami pilotów (starty i lądowania oraz same loty były bardzo miękkie i przyjemne). Widać było, iż linia dba o pasażerów i zależy jej na ich opinii – podczas ostatniego lotu z Addis Abeby do Frankfurtu rozdano nam ankiety z różnorodnymi pytaniami dotyczącymi naszej oceny Ethiopian Airlines.

Im bliżej jesteśmy Addis Abeby, tym gęstsza powłoką ciężkich chmur przykryta jest Ziemia pod nami. Po wylądowaniu zauważamy oznaki niedawnego deszczu: kałuże na płycie lotniska, ludzi w płaszczach przeciwdeszczowych. . . „Gdzie ta słynna etiopska susza?” – pytamy samych siebie, pospiesznie zakładając kurtki i bluzy z długimi rękawami. Okazuje się, że taka pogoda trwa tutaj już od jakiegoś czasu i na razie nie zanosí się na powrót Słońca.

W Addis Abebie mamy kilka godzin oczekiwania na kolejny samolot, nawet uwzględniając przesunięcie czasu o jedną godzinę naprzód względem czasu wschodnioeuropejskiego. Budynek portu lotniczego burzy nasz wcześniejszy, bardzo pozytywny wizerunek etiopskiego przewoźnika. Jakby żywcem przeniesiony z komunistycznych czasów (których pozostałości mieliśmy okazję oglądać już przy podchodzeniu do lądowania: zardzewiałe ciągniki, bezładnie leżące kontenery lotnicze, powyginana i poprzerzywana siatka okalająca lotnisko) brzydki, betonowy, odrapany budynek - całkowite przeciwieństwo portu, w którym zaczęła się nasza podróż. Nie lepiej jest wewnątrz – poczekalnia jest niezbyt imponująca, nieliczne stoiska z całkiem ładnymi, ale i tandetnymi pamiątkami, jeden bar. . . Pocieszenie i nadzieję budzi fakt, iż z daleka widać wielką bryłę nowego terminalu, będącego właśnie w trakcie budowy.

Siedzimy właśnie z Tomem spisując kolejną porcję wrażeń w dzienniku, gdy podchodzi do nas wyraźnie zdenerwowany Jacek, a za nim Bohdan z Iwoną. „Nasz lot jest do Luandy, nie do Lusaki” – mówią. Patrząc na tablicę odlotów – rzeczywiście stoi na niej jak byk Luanda – stolica Angoli. Mimo iż Tomek i ja jesteśmy pewni, że nasze bilety są prawidłowo wystawione, towarzystwo idzie się upewnić, czy wszystko jest w porządku. Ja zostaję do pilnowania bagażu. Jednocześnie myślę sobie, iż wcale nie obraziłbym się, gdybyśmy wylądowali w Angoli zamiast w Zambii – przynajmniej zobaczylibyśmy zaćmienie trwające cztery i pół minuty zamiast trzech i pół. . . Tomek ma tam tzw. „kontakty”, dzięki którym mielibyśmy zorganizowany pobyt. Jedynym minusem byłby fakt, iż musielibyśmy

praktycznie cały czas przebywać w stolicy, gdyż poza nią sytuacja jest wciąż niepewna – Angola to kraj, w którym wciąż toczy się wojna domowa, a spotkanie na prowincji oddziału partyzantów – nieważne, z jakiego ugrupowania politycznego czy wojskowego – może zakończyć się tragicznie.

Po kilkunastu minutach moje rozważania okazują się być jedynie akademickie – zgodnie z Tomka i moimi przewidywaniami nastąpiła pomyłka na tablicy odlotów. Celem lotu ET 827 jest jednak Lusaka. Ruszamy do odprawy biletowej. Pomimo pozostawieniu przed bramką wykrywającą metale wszelkich przedmiotów, które mogłyby powodować alarm - portfela, pasa z metalową sprzączką, okularów – wykrywacz uparcie piszczy. Jedyne metalowe rzeczy, jakie na sobie mam, to guziki i zamek w spodniach. Po przeszukaniu przechodzę dalej. Usilne próby wytłumaczenia celnikom, iż wstawienie mojej stalowej skrzynki ze sprzętem fotograficznym do aparatu rentgenowskiego jest pozbawione sensu, kończą się niepowodzeniem. Podobnie dzieje się z Canonem Tomka i prawie trzydziestoma naszymi kliszami – mieliśmy nadzieję, że trzymane w dłoni w plastikowej torbie i pokazywane podczas odprawy unikną naświetlania promieniami Röntgena. „Nadzieja matką głupich”, mówi jednak przysłowie i z rozpaczą patrzymy, jak nasze filmy znikają w przepastnym brzuchu maszyny. Jakoś nie przemawiają do nas zapewnienia pracownika lotniska, iż taka kontrola jest „absolutnie bezpieczna dla filmów”. Takie tortury przejdą nasze klisze (i moja skrzynka, której i tak nic nie jest w stanie ruszyć) jeszcze dwukrotnie. Lotnisko w Addis Abebie okaże się najbardziej nieugięte pod tym względem. Najbardziej po ludzku podeszli do sprawy Niemcy – po prostu poprosili o otwarcie skrzynki i zademonstrowanie aparatu oraz przejrzeni kilka opakowań na klisze.

Ponownie jesteśmy w powietrzu. Krótco przed startem poznajemy w samolocie Eckarta, Jolę i Miriam – oni także lecą na zaćmienie. Jak większość takich spotkań, to również odbyło się przypadkiem. Tomek, który dostał miejsce kilka rzędów przede mną, usłyszał, jak Jola strofuje córkę po polsku i zdumiony rozpoczął rozmowę. Od tej pory do końca pobytu byli oni naszymi towarzyszami podróży. Korzystając z faktu, iż dwa fotele obok Tomka są wolne, przesiadałam się do niego. Lot do Lusaki schodzi nam na rozmowach o zaćmieniu i Zambii.

W pewnej chwili pilot zawiadamia nas o przelocie w okolicach Kilimandżaro. Z zainteresowaniem oglądamy przez niewielkie okna pokryty śniegiem szczyt; Tomek zapamiętałe fotografuje.

Chciałbym tutaj wspomnieć o wrażeniu, jakie zrobiły na mnie chmury widziane z samolotu. Fantastyczny jest moment, gdy samolot dźwiga się z mokrego pasa, gdzie pogoda jest ponura, wznosi się coraz bardziej, wzbija coraz wyżej, aż w końcu wlatuje w chmury. Ma się wówczas nieodparte uczucie zanurzenia w jakiejś nierzeczywistej przestrzeni, czymś na podobieństwo mleka. Chmury są coraz rzadsze; widać, jak ich kłęby przemykają obok okien. I nagle – jasność. Wszystko zalewa blask Słońca, które cały czas świeci, chociaż będąc na Ziemi, w wypranym z barw, szarym otoczeniu można mieć co do tego wątpliwości. Dziób samolotu cały czas jest zadarty ku górze, wciąż zwiększamy wysokość. A pod nami – morze chmur. Była chwila, iż miałem trafniejsze porównanie – arktyczna pustynia. Śniegi po horyzont. Fantastyczne, surrealistyczne kształty lodowych gór. Olbrzymie zamrożone przeręble, w których od czasu do czasu pojawia się powierzchnia Ziemi jakby przypominając, gdzie naprawdę się znajdujemy. Wrażenia przebywania w bajkowym świecie nie burzy nawet jednostajny odgłos silników.

Około godziny 16:00 krótki dźwięk i włączone lampki informują nas o konieczności zapięcia pasów bezpieczeństwa. Pod nami Lusaka – nasz cel. Po kilkunastu minutach maszyna spokojnie osiada na betonowym pasie i kołuje w pobliże budynku portu lotniczego, który sprawia nieco przyjemniejsze wrażenie niż ten w stolicy Etiopii. Spotykając się wielokrotnie w Polsce z ludźmi, którzy pytali mnie o wyjazd mówiłem, że nie uwierzę w to, że jestem w Afryce dopóty, dopóki nie dotknę płyty lotniska w Lusace. Nareszcie mogę to zrobić – ku uciesze Tomka zresztą. Nad nami wielki napis „Lusaka International Airport”. A jednak, na pohybel ironicznie uśmiechniętym niedowiarkom!

Kilka chwil później odbieramy już nasze bagaże i wypełniamy wnioski o przyznanie wizy. Odprawa przebiega szybko i sprawnie – tylko dlaczego jedno okienko obsługuje aż trzy osoby? Nie ma wiele czasu na zastanawianie – trzeba szybko wypełnić resztę formalności, wymienić nieco dolarów na lokalną walutę o nazwie *kwacha* (wymawia się „kuacza”) po kursie 1 \$ = 3500 K , poszukać taksówki (a właściwie wybrać jednego spośród kilkunastu kierowców, którzy przekrzykują się między sobą proponując swoje usługi) i jechać do miasta szukać noclegu, bo Słońce wisi już nisko, chociaż nie ma jeszcze siedemnastej. No tak, dla mnie jako astronoma powinno być jasne, iż tak blisko równika (15 stopni S) długość dnia i nocy jest bardzo zbliżona. Dzienna Gwiazda wschodzi około szóstej rano, a za-

chodzi około osiemnastej – i tak dzień w dzień. Początkowo trudno nam było się do tego przyzwyczaić.

Nagle z niejakim przerażeniem stwierdzam brak okularów przeciwsłonecznych, które kupiłem dla ochrony oczu przed promieniowaniem ultrafioletowym. Zostawiłem je w samolocie! Podobno zażywanie leków przeciwmalarycznych i brak ochrony oczu to niemal dobrowolne domaganie się uszkodzeń wzroku. Biegnę na płytę lotniska; strażnicy przepuszczają mnie, gdy gorączkowo tłumaczę, o co mi chodzi. Z rozpaczą widzę, jak schody odsuwają się od kadłuba, a silniki zaczynają grać coraz potężniej. Pięć minut za późno! Podbiegam do kobiety z obsługi lotniska i wyłuszczam jej sprawę. Przez krótkofalówkę podaje na pokład informację, ale odpowiedź jest negatywna. Pozostaje mi czekać na jutrzejszy powrót tego samego samolotu, który właśnie kołuje na pas.

Kilka minut – i trafiam do biura rzeczy zagubionych. Pracownik biura okazuje mi troskę, wypytuje o wygląd zguby, posyła teleks do Innego Odpowiedniego Biura i radzi, bym przyszedł jutro. Nic więcej nie mogę dziś zrobić. Czas jechać do miasta, Tomek już mnie szuka.

Pocieszam się faktem, iż zalecenia co do ochrony oczu odnosiły się do innych antymalaryków niż te, które zażywamy (Lariam). Swoją drogą, Tomek i ja zauważamy jeden z często raportowanych objawów ubocznych działania Lariamu – nie ma nocy bez serii baaardzo dziwnych snów. Biorąc pod uwagę fakt, iż lek ten należy brać jeszcze kilka tygodni po powrocie z terenu zagrożonego malarią, czeka nas jeszcze sporo „seansów”.

Tutaj moja uwaga co do malarii i komarów. Trafiliśmy na porę chłodną i suchą, która w Zambii trwa od maja do września. Przypuszczamy, że głównie z tej przyczyny owadów było bardzo mało; komarów właściwie nie zauważaliśmy. Z drugiej strony prawdą jest, iż nie kusiliśmy losu: wieczorami i nocami zakładaliśmy bluzy z długimi rękawami i długie spodnie, a odkryte części ciała regularnie spryskiwaliśmy kupionymi na miejscu repelentami. Jest to chyba najlepsza metoda (zakup lokalnych środków przeciwko owadom), ponieważ dostępne w Polsce repelenty często nie odstraszą owadów występujących na danym terenie. Rady tej udzielił nam Jacek, doświadczony tropikalista, który kilka lat spędził w afrykańskich szpitalach polowych.

Wsiadamy do taksówki. W zamieszaniu niewiele brakuje, bym zostawił na wózku bagażowym swoją skrzynkę ze sprzętem foto. Wracam po nią w ostatniej

chwili. Gdybym zgubił jeszcze ją. . . Wolę o tym nawet nie myśleć.

Jedziemy w kierunku Lusaki. Kilkaset metrów za lotniskiem pierwsza z wielu w Zambii kontroli drogowych. Policjant zagląda tylko przez okno i daje znak, by jechać dalej. Do miasta jest około 20 km, podróż potrwa więc dobre kilkanaście minut. Dopiero teraz ze zdumieniem zauważam, że. . . jedziemy lewą stroną drogi. No tak – przecież to dawna brytyjska kolonia. Językiem urzędowym jest również angielski – co znakomicie ułatwiało nam porozumiewanie się.

Kierowca zręcznie wymija dziury w asfalcie, których całą menażerię będziemy jeszcze mieli okazję poznać na swoich. . . hmmm. . . siedzeniach. Rozglądam się ciekawie wokół – na tyle, na ile pozwala mi leżący na kolanach plecak. Wjeżdżamy na stację paliw. Na jej ścianie widać spory transparent „reklamujący” zaćmienie Słońca. Zachęca on do kupowania paliwa. Przy zakupie pewnej ilości dostaje się kupon, który w losowaniu może przynieść kolorowy telewizor lub pełny bak paliwa. To bardzo wiele w Zambii, gdzie paliwo jest droższe niż w Polsce – tym bardziej, gdy porówna się przeciętne zarobki w obu krajach. O płacach będzie jeszcze przy innej okazji. Wracając do paliwa – po pewnym czasie przestało nas dziwić, że kierowcy jeżdżą z niemal pustymi zbiornikami, tankując po 2-3 (tak, tak! Dobrze przeczytałeś!) litry paliwa, gdy trafi się klient. Nasz kierowca jest niezmiernie zadowolony – umówiliśmy się z nim na zapłacenie 20 \$. Jeszcze bardziej będzie się cieszył, gdy powiemy mu, że jutro czeka go taki sam kurs.

Stopniowo pojawiają się przedmiścia dwumilionowej Lusaki. Mieszka w niej jedna piąta wszystkich Zambijczyków. Kraj ma powierzchnię dwukrotnie większą od Polski; jego kształt przypomina zdeformowaną cyfrę 8. Od zachodu graniczy z Angolą, od północy z Demokratyczną Republiką Konga i Tanzanią, od wschodu z Malawi, zaś od południa z Mozambikiem, Zimbabwe i Namibią. Nie ma dostępu do otwartej wody, ale posiada kilka sporych jezior. Nad jedno z nich – Kariba, spiętrzone w latach 50. XX stulecia jeszcze przez Brytyjczyków – pojedziemy w ostatnich dniach naszego pobytu w Zambii, w sposób zupełnie niezaplanowany. Ale o tym w dalszej części opisu. Wróćmy tymczasem do stolicy.

Ludzie poruszają się najczęściej pieszo lub rowerami, rzadziej autobusami; samochodami jeździ niewielu, co nie znaczy, iż aut nie ma tam w ogóle – kilka razy zdarzyło nam się stać w klasycznych korkach. Przypnijmy, że można się czuć nieswojo będąc białym wśród samych Murzynów. Teraz wiem, jak oni czują się u nas – z tą różnicą, że u nas chyba nikt nie przypatruje się człowiekowi o ciemnej

skórze tak intensywnie jak oni patrzą na nas. Mają do tego prawo – według danych, do których dotarłem, rocznie odwiedza Zambię około 100 tysięcy turystów. Większość z nich zapewne przemieszcza się po kraju samolotami i wynajętymi autobusami oraz samochodami, odpoczywając głównie w hotelach i na campin-gach.

Po drodze mijamy – ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu – centrum handlo-we podobne do tych, które znamy z Polski: spożywczy supermarket, luksusowe sklepy z odzieżą... Na zakupy będzie czas jutro – postanawiamy jednogłośnie. W końcu docieramy do centrum miasta i jedziemy na camping, którego adres znamy z przewodnika. Widocznie nie my jedni go posiadamy, gdyż Jola i Eckart stoją przed bramą i czekają na nas. Wszystkie miejsca zajęte, nie ma gdzie wci-snąć szpilki, nie mówiąc już o namiocie. Wypytujemy „naszych” taksówkarzy. Jeden z nich podaje jakiś adres. Bez namysłu wsiadamy do samochodów i jedzie-my dalej. To krótka podróż – zaledwie kilka minut. Dzielnica wygląda na cichą i spokojną, stoją w niej domy dawnych kolonialistów otoczone ogrodami. Skrę-camy w jedną z otwartych bram. „Peace Gardens” – zachęca napis. Czy słusznie? Ano, zobaczymy. Dla zainteresowanych adres: Tito Road No. 4, Rhodes Park, Lusaka.

Wysiadamy i rozglądamy się. Zagaduje nas uśmiechnięta właścicielka, poka-zuje trawnik z tyłu domu. Jeden namiot, sporo wolnego miejsca, puste pokoje do wynajęcia w domu i poza nim, dostęp do łazienki z prysznicem, kominek w po-koju, w ogródku grill i mały bar przykryty grubym dachem z trawy, możliwość zamówienia posiłku... Decyzja jest jednogłośna – zostajemy. Cena – 20 000 K za namiot wydaje nam się do przyjęcia. Ceny za pokoje zróżnicowane w zależności od lokalizacji i wielkości.

Namiot rozbijamy już przy świetle jarzeniówek. Z baru słychać muzykę. Bu-dzi się w nas ciekawość – jak smakuje zambijskie piwo? Z ulgą wbijamy ostatnie szpilki w glebę, rozkładamy karimaty i śpiwory, plecaki do środka i ruszamy na podbój baru. Mamy do wyboru dwa gatunki piwa (z trzech, jak się później dowie-dzieliśmy): Mosi i Castle. Wybieramy Mosi. I właśnie w barze po raz pierwszy spotykamy się z tym, co nieodłącznie będzie nam towarzyszyło przez cały pobyt: problemy z wydaniem reszty. Wiele razy zastanawialiśmy się, na ile jest to spo-wodowane celowym ociąganiem podszytym nadzieją, by zniecierpliwiony biały zrezygnował z reszty, a na ile rzeczywistą niemożnością wydania reszty. Swoją

drogą często płaciliśmy nominałami 10 000 K i wydanie reszty mogło być niekiedy problematyczne.

Z piwem w dłoni chowamy się w przytulnej altance przykrytej – podobnie jak bar – grubym dachem z suchej trawy i z ulgą zasiadamy w trzcinowych fotelach. Nareszcie jesteśmy – nasz pierwszy dzień w Afryce dobiega końca. Jutro czeka nas poszukiwanie samochodu na wyjazd do parku narodowego. Czas na sen.

Rozdział 4

Dzień 4 – 13. czerwca, środa

Wstajemy niemal równo ze Słońcem, które w tej szerokości geograficznej (Lusaka leży 15,5 stopnia poniżej równika) prawie tyle samo czasu w ciągu roku spędza nad horyzontem, ile pod nim. Kilka rutynowych porannych czynności i możemy wsiadać do samochodu – „nasz” taksówkarz czeka. Ruszamy na lotnisko po naszych kolegów – Sebastiana i Arka, którzy dziś przylatują z Europy.

Na lotnisku jesteśmy grubo przed czasem – poza tym samolot jest opóźniony. Wolne minuty wykorzystujemy na spacer się po okolicy i pstryknięcie kilku zdjęć, między innymi palmy zrzucającej zeschnięte liście. Jesień w Afryce – takiego widoku się nie spodziewaliśmy. Zresztą w tej strefie klimatycznej nie ma takiego podziału, jaki znamy z Europy, czyli na cztery pory roku. Są za to następujące okresy: suchy i chłodny, trwający od maja do sierpnia; suchy i gorący między wrześniem a październikiem oraz deszczowy – od listopada do kwietnia. W tym ostatnim okresie znaczna część dróg (zwłaszcza lokalnych – szutrowych lub o podobnej, nieubitej nawierzchni, których w Zambii jest najwięcej) jest nieprzejezdna, a wody w rzekach znacznie przybywa; z tych samych powodów zamknięta jest większość parków narodowych.

Samolot ląduje. Odprawa pasażerów trwa chwilę; kierowca, z którym przyjechaliśmy nie spuszcza z nas oka nawet na chwilę. Nie jesteśmy do końca pewni, czy chłopcy przylecą razem, czy osobno. W końcu nasze wątpliwości zostają rozwiązane – udaje mi się dostrzec ich obu. Plecaki do bagażnika – jedziemy.

Dzień wcześniej odbyła się debata, po której ustaliliśmy, iż nie odwiedzimy parku narodowego Kafue (największego w Zambii i jednego z większych w całej Afryce), jak początkowo planowaliśmy, lecz skierujemy się w przeciwną stronę – na wschód, do South Luangwa National Park. Zwolennicy tej opcji argumentowali (na podstawie informacji przekazanych im przez znajomych), iż Kafue jest

znacznie większy niż South Luangwa, natomiast ilość zwierząt w obu parkach jest porównywalna, w związku z czym spotkanie z nimi jest bardziej prawdopodobne w parku o mniejszej powierzchni. Argumentacja ta wydała nam się logiczna. Podobnie doradzali nam miejscowi, zatem wybór padł na South Luangwa.

W drodze z lotniska do „Peace Gardens” przeglądamy oferty wynajmu samochodów podsunięte nam przez naszego kierowcę. Wszystkie oscylują w granicach 1000 \$ lub wyżej – dla nas wydaje się to zbyt drogą propozycją. Szofer podsuwa nam jeszcze adres agencji wynajmu. „Jedziemy tam” – pada decyzja. Jednak wcześniej chcemy zrobić zakupy. Wstępujemy do mijanego wczoraj centrum handlowego. Główną jego częścią jest sklep sieci „Shoptite” (prawdopodobnie zagranicznej – tego nie jesteśmy jednak pewni) o profilu podobnym do znanych z Polski sklepów typu „Real” czy „Geant”. Ceny – w większości porównywalne do polskich; niektóre artykuły (zwłaszcza spożywcze) są tańsze niż u nas, inne – droższe. Zazwyczaj stosowaliśmy przybliżony przelicznik 1 złoty = 1000 *kwacha*, co było nieco zawyżonym, ale wygodnym przybliżeniem rzeczywistości. Zaopatrzenie – mowa cały czas o „Shoptite” – bez zarzutów; na prowincji jest nieco gorzej, ale o tym będzie mowa później. Wybierając się do Zambii i planując pobyt w Lusace lub innym większym mieście można spokojnie zdać się na tamtejszy handel i nie zabierać z Polski żadnych zapasów żywności. Oczywiście artykuły takie jak pieczywo czy cukier są produkowane z surowców lokalnych – mąki kukurydzianej i trzciny cukrowej odpowiednio. Przykładowe ceny: mała bułka – 160 K , chleb – 1200 K , 1 butelka wody mineralnej (1,5 l) – 1800...2400 K , puszka fasoli w sosie pomidorowym – 2400 K , puszka kukurydzy – 2200 K , 100 g frytek – 700...2000 K , 1 butelka piwa Mosi (375 ml) – 1500...2500 K. Część produktów jest importowana – głównie z RPA, ale zdarzają się artykuły pochodzenia europejskiego. Owoce są łatwo dostępne. Najtańsze są rzecz jasna lokalne płody natury, głównie banany, które od przydrożnych sprzedawców można kupić za 500...1000 K za kiść (umownej wielkości). Widzieliśmy jednak również swoje jabłka i gruszki, ale były one horrendalnie drogie (jak na polskie warunki). Najwyższe ceny (czasem wręcz nieprzyzwoite) są na campingach w parkach narodowych i w innych uczęszczanych przez turystów okolicach, np. nad Wodospadami Wiktorii. Cena butelki piwa Mosi jest tam rzędu 1...1,5 \$.

Po zakupach jedziemy bezpośrednio do agencji. Jesteśmy zdecydowani na auto terenowe, z napędem na 4 koła – zresztą na wyprawę do parku narodowego nie

warto wybierać się innym samochodem. Szefowa przyjmuje nas w swoim biurze, wypytuje o cel podróży, dystans, jaki zamierzamy przejechać (na podstawie mapy optymistycznie zakładamy 1200 km – o, nieszczęśni, jak bardzo się myliliśmy, przekonamy się boleśnie za kilka dni). . . Cena – około 1000 \$. Marszczymy brwi i zastanawiamy się (po polsku oczywiście). „Za drogo” – mówimy. Szefowa proponuje nam rozmaite zniżki i rabaty – oczywiście mamy świadomość, iż większość z nich to tylko chwyt, mające na celu sprzedanie oferty. Niemniej jednak cena spada do bardziej rozsądnych 750 \$. Nie decydujemy się od razu – dziś po południu mamy umówione przez właścicielkę naszego campingu spotkanie z innymi oferentami – ale bierzemy namiary na agencję i jedziemy do „Peace Gardens”.

Na miejscu Tomek i ja zamawiamy obiad. Oczekiwaliśmy egzotycznych potraw, tymczasem ku naszemu zaskoczeniu dowiadujemy się, iż do wyboru jest kurczak lub ryba – obie potrawy z dodatkiem frytek. W ciągu naszych dalszych wojaży okaże się, iż kurczak z frytkami jest w Zambii daniem najbardziej rozpowszechnionym. Czasem tylko spotyka się kombinację frytek z wołowiną lub kurczaka z *nshima* – rodzajem placka z kaszy (prawdopodobnie kukurydzianej). Na prowincji *nshima* oraz przypominające ziemniaki *bataty* (zwane także *patatami*) są podstawą wyżywienia. Mamy trochę obaw o reakcję naszych żołądków na surówkę, ale koniec końców zjadamy ją bez późniejszych komplikacji. Nawiasem mówiąc w ciągu całego pobytu nie zdarzyły nam się poważniejsze sensacje związane ze spożyciem jakiejś potrawy czy owocu. Niemniej jednak węgiel w tabletkach mieliśmy cały czas pod ręką.

Wczesnym popołudniem spotykamy się z ludźmi oferującymi nam wynajem samochodu. Jest to minibus, Toyota Hiace 4x4. Dyskusja o cenie była zażarta, każda ze stron próbowała wytargować dla siebie jak najkorzystniejsze warunki. Koniec końców zaproponowaliśmy cenę 740 \$. Właścicielka samochodu obstawała przy 800 \$. Zakończenie okazało się dosyć niespodziewane – przyszła po nią inna kobieta ponaglając naszą rozmówczynię i wymownie wskazując na zegarek. Właścicielka obiecała przyjść wieczorem i dokończyć rozmowę, jednak nie pojawiła się. Przewidując taką ewentualność, Tomek, Iwona, Bohdan, Jola i Eckart wybrali się do miasta w poszukiwaniu innych agencji typu „rent-a-car”. Wieczorem wszystko było załatwione, zaś samochód pochodził z pierwszej odwiedzonej przez Tomka i mnie firmy, w której ostatecznie ustaliliśmy cenę na 700 \$ z li-

miotem 1200 km na okres 5 dni. Za każdy dodatkowy kilometr mieliśmy zapłacić 0.45 \$. Paliwo (benzynę) kupowaliśmy rzecz jasna sami. Samochodem, którym jechaliśmy, był Nissan Patrol 4x4. Teoretycznie powinien spalać około 10-12 litrów benzyny na 100 km, jednak w trasie zużycie okazało się być większe: ok. 18 l/100 km na dobrych drogach i ok. 25 l/100 km w terenie. Auto pożerało więc paliwo jak przysłowiowy smok i jego koszt – podzielony na 7 osób – okazał się być jednym z najdroższych punktów pobytu w Zambii. Z drugiej strony auto spisywało się niezwykle dzielnie biorąc pod uwagę fakt, iż jechało nim osiem osób (siedmioro dorosłych i jedno dziecko) ze sporym bagażem (trzy namioty i kilka plecaków). Jednak na opis przygód związanych z podróżą samochodem przyjdzie czas później.

Rozdział 5

Dzień 5 – 14. czerwca, czwartek

O świcie zapakowany po dach samochód z Eckartem jako kierowcą i nami w roli pasażerów wyruszył ku przygodzie. Po krótkim błędzeniu w Lusace (dojechaliśmy nawet do lotniska Zambian Air Force) wyjechaliśmy na szosę prowadzącą do Chipaty, na wschodzie kraju.

Do jednej z zambijskich ciekawostek można zaliczyć na pewno kontrole policyjne. Posterunki drogowe są zazwyczaj stałe i wyraźnie oznakowane; policja nie chowa się w krzakach, jak w Polsce. Kilkaset metrów wcześniej stoi znak uprzedzający o kontroli i konieczności zmniejszenia prędkości. Na odcinku kilkunastu-kilkudziesięciu metrów wzdłuż osi jezdni ustawione są „pachołki”. Po zatrzymaniu samochodu policjant pochodzi do okna, przyjaźnie pozdrawia kierowcę i pasażerów, następuje wymiana zdawkowych najczęściej informacji typu cel podróży i - można jechać dalej, aż do następnego posterunku, gdzie procedura przebiega podobnie. Takich kontroli przeszliśmy podczas całego pobytu kilkadziesiąt i tylko w jednym przypadku zdarzyło się wymuszenie przez funkcjonariusza łapówki, ale o tym w swoim czasie.

Teren jest pagórkowaty, porośnięty roślinnością typową dla sawanny: niewysokie drzewa podobne do akacji, sporo krzewów i traw. Prosta jak strzełił linia drogi ginie na horyzoncie, wspinając się i opadając z kolejnych wzniesień. Mijamy ludzi na rowerach i wielu piechurów – wszyscy jak jeden mąż widząc nas lub słysząc skwapliwie usuwają się na pobocze drogi. „Ze strachu czy dlatego, iż tak wymagają tutejsze przepisy?” – zastanawiamy się. Wydaje mi się jednak, iż obawa przed potrąceniem jest silniejsza – dwa mijające się z dużą prędkością na dziurawej drodze samochody mogą wzbudzać lęk u pieszych i rowerzystów. Samochodów jest stosunkowo niewiele, głównie terenowych. Z obcych rejestracji przeważają południowoafrykańskie lub z Zimbabwe. Ich pasażerami są w znako-

mitej większości biali – zapewne turyści.

Wspomniałem wcześniej o stanie dróg w Zambii. To dopiero zaczątek naszej podróży i mamy nadzieję, że pozostałe szosy, którymi przyjdzie nam jeździć, będą podobnej jakości – równe, o dobrej przyczepności, bez dziur, z wyraźnie namalowanymi pasami... Najbliższa przyszłość pokaże, jak żałosne były nasze początkowe wyobrażenia.

Pierwszy przydrożny baobab – nie sposób nie natknąć się w Zambii na to słynne drzewo, o którym mówi się, iż wygląda, jakby rosło korzeniami do góry. Zatrzymujemy się, by zrobić kilka zdjęć. Stojąc przy gigantycznym pniu o barwie i fakturze skóry słonia człowiek czuje się małym pyłkiem w obliczu potęgi przyrody – a na pewno napotkamy jeszcze większe okazy niż ten, który właśnie obfotografujemy. Czas jednak jechać, bo droga przed nami długa.

Po następnych kilkudziesięciu kilometrach widzimy jak na dłoni pierwszą wioskę z okrągłymi chatami nakrytymi dachami z trawy. Nie przepuścimy takiej okazji – zatrzymujemy się ponownie. Oczywiście nie obywa się bez serii zdjęć. Dwóch chłopców w wieku około 13-14 lat niesie spory kawał drewna – jak się dowiaduję w rozmowie z nimi, posłuży do podparcia dachu w chacie. Jednemu z chłopców podarowuję czapkę z daszkiem z logo naszego sponsora. Opowiadam im o zaćmieniu i radzę, jak je bezpiecznie obserwować. Biorę poprawkę na dostępność (a raczej niedostępność) okularów z mylaru i podobnych środków ochrony oczu. Rozmowy o zaćmieniu staną się od tej pory „żelaznym punktem” niemal każdej naszej rozmowy z tubylcami.

Pospiesznie wracam do samochodu, w którym czeka już na mnie reszta ekipy. Gromadka dzieci podąża za nami. Jeden z chłopców w podziękowaniu za udzielenie informacji o zaćmieniu wręcza mi w prezencie świeżo ściętą, sporą kiść zielonych jeszcze bananów. Gest ten bardzo mnie porusza. Raz jeszcze idę do wioski. Tam spotykam matkę chłopca i dostaję – również w prezencie – miskę batatów. Wybieram sobie dwie „reprezentacyjne” sztuki i oddaję resztę – ja przecież nie zrobię z nich użytku, a oni być może oddali mi swój niedoszły obiad. Reszta moich współtowarzyszy podróży, chyba lekko zniecierpliwiona, podjeżdża po mnie samochodem i... wysiadają. Ostatnie zdjęcia, pożegnania – jedziemy dalej. Jednak wizyta w tej właśnie wiosce bardzo utkwiała mi w pamięci – bezinteresowność i gościnność mieszkańców była naprawdę niezwykła. Podobnie było w innych częściach Zambii – nikt nigdy nie okazał nam niechęci i nie odmówił

pomocy.

Mija kilometr za kilometrem, za oknem sawanna, czerwona ziemia, ludzie wykonujący codzienne czynności, baobaby, wozy zaprzężone w woły, kryte trawą chatki, znowu ludzie pochłonięci ciężką codzienną pracą. . . Prawdziwy obraz Afryki, o ujrzeniu jakiego marzy chyba każdy.

Droga staje się coraz bardziej kręta i pochylona. Więcej czasu spędzamy na zjeżdżaniu niż na pokonywaniu wzniesień. W pewnej chwili otwiera się przed nami widok na rozległe koryto szerokiej na około 200 metrów, leniwie toczącej swe wody rzeki dźwięcznej nazwie Luangwa, która w porze deszczowej jest zapewne szersza i bardziej bystra. Przed mostem o ciekawej, wiszącej konstrukcji zatrzymujemy się – a jakże – do kontroli. Pytamy policjanta, czy za mostem można się zatrzymać. Odpowiedź jest pozytywna, zatem po przekroczeniu rzeki zjeżdżamy nierówną drogą ku wodzie. Kilka kilometrów stąd (w linii prostej), za pasmem gór, jest już Zimbabwe – Luangwa jest rzeką graniczną.

Gdy zatrzymujemy się, podchodzi do nas gromadka dzieci. Najstarszy chłopiec dzierży w dłoni coś na kształt łuku, ale równie dobrze (czytaj: przy odpowiedniej dozie wyobraźni) przedmiot ów przypomina wędkę. I znowu chwila rozmowy, kilka zdjęć. . . Jola i Eckart gotują wodę na spirytusowym kocherze – nie wiem, jak udało im się „przemycić” butelkę z paliwem do tego cuda, a ja miałem problemy z menażką. . .

Postój nie trwa długo. Po ujechaniu kolejnych kilkudziesięciu kilometrów nasze żołądki coraz bardziej uparcie przypominają nam o porze obiadowej. Zatrzymujemy się zatem w jednej z miejscowości i wchodzimy do lokalu z szyldem „Restauracja”. Kto spodziewał się wytornego wnętrza z puszystym dywanem i kelnerami o nienagannych manierach, srodze się zawiódł. Lokal nie jest duży, ściany pomalowane wałkiem w nieokreślony wzorek przypominają widok spotykany w starych polskich mieszkaniach sprzed ery tapet, dojście do baru zagrodzone jest kratą z odpryskującą gdzieś farbą, a do jedzenia mamy tylko kurczaka z dodatkiem *nshimy* lub ryżu i warzyw. Na posiłek trzeba chwilę zaczekać; w międzyczasie prosimy o miskę z wodą do umycia rąk. Tomek i ja zostajemy w restauracji, a reszta towarzystwa decyduje się zrobić zakupy na miejscowym targowisku.

Szybciej niż się spodziewaliśmy dostajemy nasze dania – prawdopodobnie dlatego, iż jako jedyni zamówiliśmy *nshima* (kukurydziane placki)- wychodzi-

my z założenia, że być tutaj i nie spróbować lokalnych potraw byłoby błędem. Wcześniej raz jeszcze dostajemy miskę z wodą i mydło; potrawy wniesione zostają dopiero po chwili. Nie dostajemy jednak sztućców, ale nie jesteśmy z tego powodu zmartwieni ani oburzeni. Rwiemy kawałki *nshimy*, nurzamy je w ostrym sosie, w którym pławi się również niemiłosiernie wychudzony kurczak, a raczej jego zwłoki – głód zostaje zaspokojony. Do picia – niestety, tylko napoje spod znaku Coca-Coli, tanie nawet jak na zambijskie warunki (1000-2000 K). Reklamy Coca-Coli – na plakatach, namalowane farbą na ścianach – są doprawdy wszechobecne.

Po kilku minutach już cała nasza wygłodniała ekspedycja z zapalem zaspokaja głód. Po uiszczeniu rachunku podejmujemy podróż. W jej trakcie następuje pierwsze – i zarazem ostatnie – spotkanie z afrykańskim wężem. Dla niego, niestety, zakończone tragicznie. Bohdan siedzący tym razem za kierownicą zbyt późno spostrzega pełznące przez drogę zwierzę i, pomimo rozpaczliwych manewrów, przejeżdża je. Zatrzymujemy się kilkadziesiąt metrów dalej i widzimy, że ciężko ranny wąż o zielonkawym brzuchu pręży się pokazując zęby jadowe i próbując zaatakować wroga, który zadał mu cios – czyli nas. Życie uchodzi z niego jak z przekłutego balonu, ale – nie mogąc patrzeć spokojnie na jego cierpienie – dobijamy go i w milczeniu podejmujemy przerwana w tak nieszczęśliwy sposób wyprawę.

Ostatnia większa miejscowość przed zjechaniem z głównej drogi na północ znalezionym na mapie skrótem prowadzącym w stronę parku, to Petauke. Będziemy w niej gościć jeszcze kilkakrotnie, ale o tym przekonamy się nieco później. Tutaj, na stacji paliw, robimy ostatnie zakupy, wymieniamy pieniądze i oczywiście tankujemy. Później ruszamy już na spotkanie przygody. Droga z asfaltowej zmienia się w bitą, która robi się coraz bardziej wyboista. Mijamy coraz mniej domów. Napotkani ludzie upewniają nas co do słuszności obranego kierunku, jedziemy zatem ufnie, chociaż droga coraz mniej odpowiada naszym wcześniejszym wyobrażeniom. Krótco przed zachodem Słońca po raz ostatni zasięgamy języka i... jedziemy dalej Ciemność zapada bardzo szybko. Nagle – zamknięty szlaban i wyraźnie zdziwiony naszym widokiem policjant z kałasznikowem. Pyta, czy na pewno znamy drogę. „Tak” – brzmi odpowiedź – a raczej taką mamy nadzieję. Ostatnie ostrzeżenia od przedstawiciela władzy, szlaban podniesiony – jedziemy. Eckart pewnie prowadzi auto po wąskiej drodze, na której – co wyraźnie czujemy

– pojawiło się nagle wiele wybojów. Zgrzyt gałęzi na bokach samochodu, szelest trawy ocierającej się o podwozie, coraz cieplejsza podłoga w okolicy wału korbowego pod Tomka i moim siedzeniem. . . W buszu co kilkanaście minut znieacka pojawiają się i równie szybko znikają pojedyncze ogniska, sylwetki siedzących wokół nich ludzi, zarysy domostw. . . Pokonujemy wzniesienia, pożar buszu, ostre zakręty, mostki nad strumieniami, rozgałęzienia dróg, z których każda przypomina tę, którą aktualnie jedziemy. . . Mija minuta za minutą, kwadrans składają się w godziny, brniemy coraz głębiej w busz. . . Po około trzech godzinach i przejechaniu zaledwie 70 kilometrów od posterunku policyjnego zatrzymuje nas niespodziewana przeszkoda – wielka kałuża, ginąca za zakrętem. Kolejny problem to stale rosnąca we wnętrzu auta temperatura – wał wyraźnie się nagrzewa. Co gorsza, wskaźnik temperatury wody w chłodnicy wykracza poza skalę. Otwieramy maskę – bucha w nas gorąco. Eckart ostrożnie odkręca korek – i uskakuje przed gejzerem wrzącej, wściekle syczącej brązowej wody. Patrzymy na to w milczeniu. W końcu Tom i ja ruszamy ku kałuży z plastikową butelką. Po kilku kursach chłodnica jest uzupełniona i postanawiamy zawrócić – nie wiemy przecież, jak bardzo jest rozległa i jaka jest jej głębokość.

Droga powrotna wydaje się upływać szybciej. Kilka razy nie jesteśmy pewni, czy jechaliśmy właśnie tędy, raz nawet kręcimy się bezradnie po uśpionej wiosce, ale koniec końców trafiamy do pierwszego głównego rozjazdu i rozprostowując kości zastanawiamy się, co robić dalej – czekać do rana w samochodzie i w świetle dnia zaatakować kałużę, czy wrócić do posterunku policyjnego, przenocować przy nim i wrócić do Petauke, do głównej drogi, a stamtąd do Chipaty i dalej, do parku. Wybieramy drugą możliwość. Około godziny pierwszej docieramy do posterunku, na którym służbę pełni inny policjant. Nie ma nic przeciwko temu, byśmy zaczekali do rana. Jola i Eckart rozbijają namiot; Iwona, Bohdan i Jacek postanawiają spać w samochodzie, a Tomek i ja rezygnujemy ze snu na rzecz całonocnej rozmowy z policjantem, który chętnie godzi się na nasze towarzystwo. W jego zadanej wartowni, otwartej na chłody nocy i kaprysy pogody, bezpośrednio na betonowej podłodze śpi dwoje ludzi, przykrytych jednym kocem. Obok stoi małe palenisko z tłącym się węglem drzewnym. Rozmowa z policjantem to niewątpliwie jeden z najciekawszych momentów w ciągu całego pobytu. Dowiadujemy się między innymi o zarządzeniu, by policja sprzyjała zagranicznym turystom, którzy przybywają do Zambii na obserwacje zaćmienia. Dowiadujemy się kilku

faktów o systemie szkolnictwa w Zambii (faktycznie zauważa się dbałość rządu o edukację: w drodze z Lusaki mijaliśmy wiele szkół, nawet głęboko w buszu), o kłopotach z pracą w kopalniach miedzi (to jedno z największych bogactw naturalnych tego kraju), o przestępczości, nawet o aresztowaniach za rzekome czary. Nasz czarnoskóry towarzysz jest jednak sceptyczny i nie wierzy w gusła. Opowiada nam o swoich perypetiach z pracą: najpierw w kopalni, a po zwolnieniu w policji. Zaciągnął się do niej, gdyż – jak twierdzi – to stała i pewna praca, dająca znacznie większe poczucie bezpieczeństwa socjalnego, chociaż zarobki, jak sam przyznaje, nie są imponujące – miesięcznie otrzymuje on 140 tysięcy *kwa-cha* (około 40 \$). Wydaje nam się to śmiesznie (w tragiczny sposób rzecz jasna) niską sumą zważywszy na fakt, iż pięć miesięcy w roku policjant spędza poza domem, na posterunkach takich jak ten, na którym właśnie jesteśmy, z dala od żony i dwóch córek. My rewanzujemy mu się opowieściami o historii naszego kraju, dochodząc nawet do okresu plemiennego i czasów jednoczenia państwa. Policjant nie może wyjść ze zdumienia, że w Polsce mówi się tylko jednym językiem – polskim. „Naprawdę?” – kręci z niedowierzaniem głową. W Zambii jest bowiem, poza urzędowym angielskim, ponad 70 lokalnych języków, z czego kilka, używanych przez najbardziej znaczące plemiona, jest szeroko rozpowszechnionych. On sam zna ich dziesięć, łącznie z angielskim.

Tomka i mnie zaczyna morzyć sen, wyruszamy wobec tego na spacer w towarzystwie policjanta. Pod rozgwieżdżonym niebem, przy wschodzącym Księżycu i kilku przemykających po niebie meteorach opowiadamy na przemian o tajemnicach astronomii, starając się wyjaśnić niektóre zjawiska. Opowiadamy oczywiście również o nadchodzącym zaćmieniu.

Rozdział 6

Dzień 6 – 15. czerwca, piątek

Tak gawędząc spędzamy czas. Około godziny przed wschodem Słońca budzimy naszych śpiących współtowarzyszy i, po zwinięciu namiotu i pożegnaniu policjanta, ruszamy w drogę. Szybciej niż się spodziewaliśmy jesteśmy znowu w Petauke. Uzupełniamy paliwo i jedziemy w stronę Chipaty. Droga jest co prawda pokryta asfaltem, dziurawym jednak jak ser szwajcarski. Nie możemy jechać tak szybko jak wczoraj, gdy stan drogi na to pozwalał. Docieramy w końcu do Chipaty, gdzie spędzamy kolejne dwie godziny na jedzeniu, zakupach, wymianie pieniędzy i tankowaniu benzyny. Atmosfera w mieście jest dziwna – można rzec duszna. Wyczuwa się jakieś napięcie. Wszystko wygląda normalnie, niemniej jednak nie czujemy się pewnie. Może z powodu natrętnych dzieci na parkingu przy „Shoprite”, może młodocianych cinkciarzy na stacji paliw, a może z jeszcze innego powodu... Z ulgą opuszczamy miasto i kierujemy się ku Mfuwe. Droga już po kilku kilometrach zmienia się z dziurawego asfaltu na wyboistą, pylistą ziemię. Mijamy sporo ludzi, z których wielu podąża pieszo lub rowerem do pracy w Chipacie – między innymi mężczyźni w garniturze, jadący rowerem i nie zważający na unoszący się, dokuczliwy pył. Zastanawiamy się, jak będzie wyglądał po przyjeździe do pracy.

Zatrzymujemy się przy strumieniu, by umyć zmęczone stopy oraz zmienić – a raczej uzupełnić – wodę w chłodnicy i wziąć zapas na wypadek jej ponownego zagotowania. W dalszej drodze spotykamy stojący na poboczu samochód bez koła. Oferujemy swoją pomoc, ale biały kierowca grzecznie nam dziękuje informując jednocześnie, że pomoc jest już w drodze. Bez przeszkód docieramy do Mfuwe, gdzie robimy zakupy. Nie jest to łatwe zważywszy na fakt, iż przebywając na prowincji ma się nieodparte wrażenie, że podstawą wyżywienia Zambijczyków są różnego rodzaju ciastka i herbatniki, którymi zavalone są sklepowe

półki. Z bólem serca zaopatrujemy się zatem w owe specjały i jedziemy do nieodległego już parku. Jest późne popołudnie i nie mamy zamiaru wjeżdżać na jego teren. Zasięgamy informacji na temat godzin wstępu i cen, po czym zaczynamy szukać miejsca na nocleg, co nie jest trudne – campingów na lewym brzegu Luangwy jest sporo. Zachód Słońca zbliża się nieubłaganie. Docieramy do miejsca o nazwie „Flatdog’s Camp”. Tam, przy błyskawicznie zapadającym zmierzchu, rozbijamy namioty. Tomek i ja idziemy szybko spać, nieco zmęczeni nieprzespaną nocą i całym dniem jazdy samochodem.

Rozdział 7

Dzień 7 – 16. czerwca, sobota

Wstajemy wczesnym rankiem; Tom jako pierwszy wychodzi z namiotu, a po kilku minutach pędem do niego wraca, zabiera sprzęt fotograficzny i biegnie nad rzekę, odległą o zaledwie 100 metrów. Niestety, spóźnia się. Obiecujemy sobie wstać jutro wcześniej i poczekać nad wodą na słońce – to właśnie na nie usiłowaliśmy zapolować Tomek.

Krótką toaleta, szybkie śniadanko w postaci „chemicznych ciasteczek” („Pa-trząc na skład tej ambrozji mam wrażenie, że żadne zarazki nie mają szans na przeżycie” – mówię czytając napisy na opakowaniu) zapijanych wodą mineralną. Zaczął się nasz kolejny dzień w Afryce. Tuż przed odjazdem wywiązuje się dyskusja, kto i gdzie ma siedzieć w samochodzie. Każdy chce mieć „dobre” miejsce (czyli pozwalające na swobodne obserwowanie jak największej przestrzeni na zewnątrz auta i robienie zdjęć). Dochodzimy jednak do porozumienia i wyruszamy – najpierw do Mfuwe, by zatankować nieco paliwa. Na miejscu okazuje się, iż stacja jest otwierana dopiero o ósmej, musimy zatem cierpliwie czekać.

Bramę parku (Mfuwe Main Gate) przekraczamy krótko po ósmej. Aby móc dostać się do środka, należy zapłacić 20 \$ (cena za 1 osobę) oraz wnieść opłatę za samochód (5000 K). Karta wstępu ważna jest przez 24 godziny. Jest to interesujące ze względu na fakt, iż park jest zamykany o godzinie 18 (gdy Słońce zachodzi) i dłuższe przebywanie w nim jest zabronione. Gdyby jednak komuś przyszło do głowy „zgubić się”, prawdopodobnie szybko zostanie znaleziony przez strażników patrolujących teren parku, a wtedy musi się liczyć ze sporymi kłopotami.

Za paskarską cenę dwóch dolarów kupujemy odbitą na ksero schematyczną mapę niewielkiego wycinka parku, bezpośrednio przylegającego do rzeki. Początkowo jedziemy główną drogą, szybko jednak dochodzimy do wniosku, że bardziej ekscytujące będzie odbicie w którąś z jej licznych odgałęzień. Przekraczamy ko-

ryta wyschniętych rzek i strumieni, które w większości są zapewne dopływami Luangwy. Niektóre są sporych rozmiarów i podczas pory deszczowej muszą sprawiać imponujące wrażenie.

Zabawne pomyłki w orientacji na mapie i w terenie powoduje fakt, że jesteśmy na południowej półkuli i niektórzy nie zdają sobie do końca sprawy z tego, iż Słońce góruje tutaj w południe nad północnym horyzontem. Tomek i ja szybko rozwiewamy wątpliwości, robiąc króciutki wykład z podstaw astronomii.

Pierwszymi zwierzętami, jakie zauważamy, są antylopy *impala*. Później „worek z prezentami” rozwiązuje się i spostrzegamy zebry, słonie, żyrafy, małpy (nie potrafimy jednak określić nazwy gatunku)... Co chwilę zatrzymujemy się i wysiadamy, by podejść bliżej upatrzonego zwierza i „ustrzelić” go przy pomocy aparatu. Co prawda słyszałem, że wychodzenie z samochodu w afrykańskich parkach narodowych jest zabronione, ale czasem naprawdę trudno oprzeć się pokusie... Przyznaję jednak, iż momentami nie jestem pewien, czy opuszczanie auta jest dobrym pomysłem, niemniej jednak niełatwo opanować emocje innych. Wątpliwości mam szczególnie w obecności dużych zwierząt, takich jak słonie, które wbrew pozorom potrafią biegać bardzo szybko, ale jestem pewien, iż nawet pozornie łagodna żyrafa potrafi się zdenerwować, gdy poczuje się zagrożona. Niebezpieczne moim zdaniem są także wielkie, otwarte przestrzenie, porośnięte trawami i licznymi karłowatymi drzewami - to z kolei najczęściej rewiry lwów. Na tych osławionych myśliwych cały czas oczywiście czekamy i liczymy na ich zauważenie. Jednak dziś w tym względzie nie dopisze nam szczęście.

Innym powodem, dla którego słusznie zabrania się opuszczania samochodu podczas safari jest – moim zdaniem – płoszenie zwierząt. Jak bowiem może przebiegać tok „myślenia” zebry czy antylopy, widzącej zatrzymujące się auto i wysiadające z niego dwunożne istoty, które – w grupie lub pojedynczo – powoli skradają się w kierunku zwierzęcia? Z pewnością jako potencjalne zagrożenie, przed którym należy – na wszelki wypadek – czmychnąć. Ludzie zawiedzeni ucieczką upatrzonego celu podchodzą zatem bliżej - a zwierzę znowu bierze nogi za pas. Może się zdarzyć, że po kilku takich doświadczeniach będzie się chowało na sam widok auta, a wtedy inni zwiedzający, którzy z taką samą jak my nadzieją przybywają do parku, wyjadą rozczarowani.

Około południa postanawiamy pójść w ślady zwierząt, które o tej porze chronią się przed upałem. W przewodniku turystycznym, z którego korzysta Eckart,

znajdujemy obiecujący opis obozowiska o nazwie „Lion Camp”. Po przypadkowym trafieniu do innego, prywatnego obozu, w którym uzyskujemy wskazówki co do dalszej drogi, osiągamy w końcu zamierzony cel. „Lion Camp” robi na nas oszałamiające wrażenie: kilkanaście ustawionych na palach, połączonych nadziemnymi pomostami i otoczonych zielenią obszernych chat z drewna, krytych trawą, wyposażonych w sporą sypialnię z rozpiętą nad łóżkiem moskitierą, łazienkę i niewielki taras wiszący niemal dokładnie nad rzeką. Serce tego miejsca stanowi wspaniały pawilon, otwarty na rzekę drewnianym tarasem. Jego podłogę i dach w kilku miejscach przerastają drzewa o grubych pniach. Nie brakuje, rzecz jasna, basenu i baru. Kilkadziesiąt metrów dalej nad powierzchnię wody wystają grzbiety kilku hipopotamów.

Rozsiadamy się pod dachem (to dla spragnionych cienia) lub wprost pod gołym niebem (to dla miłośników opalenizny) wokół betonowego kręgu wysypanego piaskiem, służącego zapewne jako miejsce na ogniska. Dowiadujemy się, że dzisiejszego ranka na drugim brzegu rzeki, niemal na oczach ludzi stado lwów zabiło zebra. Nasz zapał do obejrzenia efektów tego zdarzenia studzi fakt, iż drapieżniki zaciągnęły zdobycz do buszu. Właściciele obozu próbowali dojechać samochodem na miejsce, w którym po raz ostatni widziano lwy, ale na drodze stała im przeszkoda w postaci błotnego rozlewiska.

Zamawiamy posiłek. Szczerze mówiąc nie wiemy, co dostaniemy – mamy jedynie nadzieję, że zamówienie zostanie zrealizowane szybko (z czym początkowo są pewne kłopoty) i w sporych ilościach. Wkrótce przyniesione zostają szklane miski pełne sałatek warzywnych i owocowych, małe kielbaski z rusztu, zimna woda do picia. . . Pałaszujemy z zapałem, nie żałując sobie dokładek, bo jedzenie jest naprawdę wyborne.

Po obiedzie Tomek i ja, nieco ociążali po obiedzie, obserwujemy wraz z Eckartem przez jego znakomitej jakości lunetę zwierzęta w rzece i nad jej brzegiem: wygrzewające się krokodyle (kawałek od nas, obrócony do nas tyłem dorosły osobnik, a niemal dokładnie naprzeciwko – całkiem maleńki, nie mający nawet pół metra długości), hipopotamy, ptaki. . .

Jakiś czas później, gdy całe towarzystwo jest gotowe do dalszej drogi, ruszamy z porządnie zamiecionego dziedzińca, żegnani przez właścicieli „Lion Camp”. „Tak chcielibyśmy spędzić całe życie” – wzdychamy z Tomkiem, plując unoszącym się wszędzie pyłem i szykując aparaty fotograficzne do bezkrawych łowów.

Ciąg dalszy pierwszego dnia naszego safari jest podobny do wcześniej spędzonych godzin. Nie udaje nam się „upolować” lwów, na co tak bardzo liczyliśmy. Słoneczna kula wisi już nisko nad zachodnim horyzontem – znak, że powinniśmy kierować się ku bramie wyjazdowej parku. Zatrzymujemy się jeszcze na kilkanaście minut, aby obejrzeć pokaźne stado słońi, najwyraźniej zajętych kolacją i zmierzających w stronę rzeki.

Z parku wyjeżdżamy krótko po godzinie 18. Zmierzch szybko przeradza się w noc. Tomek i ja siadamy w barze i, sącąc piwo, opisujemy wydarzenia minionego dnia oraz „wystrzelane” klisze, a jest ich sporo. Później pozostaje nam jedynie kolacja (czytaj: resztki suchego chleba) i możemy wstąpić do królestwa Morfeusza – jutro czeka nas kolejny, pełen wrażeń dzień.

Rozdział 8

Dzień 8 – 17. czerwca, niedziela

Następnego dnia budzi nas pikanie zegarka. Początkowo nie mamy wielkiej ochoty na wstawanie, ale chęć obejrzenia – i uwiecznienia na kliszy – porannego przemarszu słońca przez Luangwę jest silniejsza. Szybka toaleta, zebranie sprzętu – i już stoimy na szerokim i płaskim brzegu rzeki. Jest jeszcze zupełnie ciemno; dopiero kilka minut po piątej, do wschodu Słońca mamy grubo ponad godzinę. Wśród mrowia gwiazd, wysoko nad wschodnim horyzontem wisi „stary” Księżyc, kilka stopni pod nim lśni Wenus, krótko po dniu osiągnięcia największej elongacji zachodniej, a nisko na zachodnim nieboskłonie błyszczy Mars, który już za kilka dni zbliży się do Ziemi na odległość zaledwie 67 milionów kilometrów – najmniejszą od 13 lat.

Świt zbliża się szybko, a wraz z nim słońce – słyszymy je, jak buszują w naszym obozie, łamiąc gałęzie. Po drugiej stronie do wody majestatycznie zsuwają się hipopotamy. Spowitą w opary rzeką, niesiony jej leniwym prądem powoli płynie krokodyl, mający wyraźną chrapkę na dwa dorosłe ptaki szukające pożywienia na płyciźnie. Widać jedynie oczy gada, wystające nad powierzchnię. Ptaki jednak spostrzegają niebezpieczeństwo i odfruwają; krokodyl niewzruszenie płynie dalej.

W końcu widzimy słońce; wychodzą spomiędzy drzew nad rzekę. Małe i duże, młode i stare – powoli idą ku wodzie, znikając nam na chwilę z oczu, by zaraz pojawić się znowu, już w rzece. Dostojnie kroczą po dnie, zmierzając ku drugiemu brzegowi. Mniej więcej w połowie drogi mijają się z hipopotamami, nie wchodząc sobie nawzajem w drogę. Po dotarciu na przeciwny brzeg wychodzą kolejno z wody tym samym szlakiem, którym kilkanaście minut wcześniej hipopotamy schodziły ku rzece. Co pewien czas wydają z siebie donośne trąbienie. Gdy już wydaje nam się, że jest po wszystkim, okazuje się, że na „naszym” brzegu zama-

rudził jeszcze jeden słoń – właśnie obgryza liście z drzewa zaledwie kilkadziesiąt metrów od nas. Eckart, który w międzyczasie przyszedł do nas ze swoimi przyrządami optycznymi, kieruje na potężne zwierzę swoją lunetę, pozwalając nam podziwiać przez chwilę wspaniały widok. Po chwili słoń pada już w poprzek nurtu śladem swoich pobratymców; kilka minut później stado znika nam z oczu. Cały czas wiemy jednak, gdzie się znajduje – doskonale słychać odgłosy trąbienia.

To jeszcze nie koniec porannych atrakcji – czas na obserwacje astronomiczne. Eckart kieruje lunetę na Księżyc i Wenus, która – pomimo faktu, iż Słońce już od ponad trzydziestu minut wisi wysoko na niebie – jest bez wysiłku dostrzegalna gołym okiem, co jest dla nas fenomenalne. W okularze doskonale widać kwadrę planety.

W czasie, gdy my oglądamy, jak przyroda budzi się do kolejnego dnia, nas współtowarzysze dopiero wstają i przygotowują się do wyjazdu. Wracamy zatem do nich i... trafiamy na mały, fikające wśród namiotów i rozgrzebujące śmieci w poszukiwaniu resztek jedzenia. Zamykamy szczelnie namioty i wyruszamy do parku.

Zaledwie kilka minut po przekroczeniu bramy, jadąc w szpalerze gęstych krzewów i karłowatych drzewek zauważamy przed sobą stado bawołów, przebiegających (w popłochu?) w poprzek drogi i wzbijających tumany kurzu. Zatrzymujemy się gwałtownie i robimy zdjęcia. Nagle Jacek zauważa na drodze trzy lwice, biegnące kilkadziesiąt metrów przed samochodem. Znikają równie szybko, jak się pojawiły – chyba nikt nie zdążył zrobić żadnej udanej fotografii, chociaż migawki ostro trzaskały. Ale udało się – widzieliśmy królów (a właściwie królowe) zwierząt, i to od razu w stadzie! Niejako na pocieszenie obfotografujemy stojące w buszu kilka metrów od drogi bawoły, które z zainteresowaniem się nam przypatrują – i nawzajem. Trzeba przyznać, że dzień zaczyna się całkiem nieźle. Oby później też tak było...

Jedziemy dalej głównym szlakiem, jednak – podobnie jak wczoraj – szybko skręcamy w jedną z bocznych dróg. Tym razem jednak kierujemy się nie ku rzece, a bardziej ku sercu parku, gdzie spodziewamy się znaleźć więcej zwierząt. Niedługo potem zauważamy stojące między drzewami stadko słoń – kilka dorosłych i dwa lub trzy młode – prawdopodobnie jedno z tych, których przeprawę przez Luangwę oglądaliśmy o świcie.

I znowu mamy jak na dłoni antylopy *impala*, żyrafy, zebry... „Nuda” – mówimy w żartach, ostrząc sobie zęby na „coś większego”. Jedziemy krętą, piaszczystą drogą; po prawej stronie mamy bagno, z którego sterczą kikuty drzew o niemal idealnie białej, gładkiej korze, po lewej natomiast rozciągają się to łagodniejsze, to bardziej strome trawiaste pagórki z mnóstwem baobabów rozmaitej wielkości i w różnym wieku. Sceneria jest tak urzekająca, że postanawiamy na chwilę się zatrzymać i zrobić kilka zdjęć. Jednak coś dziwnego wisi w powietrzu. Każdy jest zaaferowany swoimi sprawami, a tymczasem w pogoni za przygodą mała Miriam wchodzi prosto do bagna. Kończy się na szczęście jedynie na strachu i ubrudzonych butach. Jest jednak moment, w którym Jacek i ja zostajemy sami, bez samochodu; reszta „naszych” jest gdzieś daleko, gdy nagle przed nami przebiega spore stado antylop i znika w buszu. Mamy jeszcze w pamięci widok spłoszonych bawołów; oczyma wyobraźni widzimy lwy w roli myśliwych tropiących antylopy... Po plecach przechodzi nam lekki dreszcz, ale nic szczególnego się nie dzieje. Chwilę później wszyscy siedzimy już w samochodzie, a Miriam – sprawczyni całego zamieszania – z nową energią ciągnie Tomka za włosy i radośnie wyśpiewuje piosenki, czym skutecznie uniemożliwia nam podsłuchiwanie odgłosów przyrody i - jak podejrzewamy – płoszy zwierzęta w promieniu kilku kilometrów.

Kilkaset metrów od ostatniego przystanku zatrzymujemy się przy imponującym kopcu termitów – największym, jaki do tej pory mieliśmy okazję zobaczyć – aby w końcu obejrzeć z bliska jeden z tych fascynujących tworów tysięcy pokoleń owadów. Po chwili nasz pojazd leniwie toczy się dalej. Wtem – hamulec. Przed nami, odległy zaledwie o kilkanaście metrów, stoi samotny słoń; potężny, stary samiec. Jest tak blisko drogi, że nie wiemy, czy jechać dalej, czy wycofać się. Nie ma czasu na zastanawianie ani na robienie zdjęć – ogromna góra mięsa trąbi nagle z wyraźnie ostrzegawczą nutą i szybko postępuje kilka kroków w naszym kierunku. „Go fast!” – mówi głośno siedzący z tyłu Eckart i Bohdan rusza gwałtownie do przodu. Jedziemy dosyć szybko, oglądając się za siebie. Zatrzymujemy się po kilkuset metrach i zastanawiamy – zaczekać kilka minut i wracać tą samą drogą czy jechać dalej. Postanawiamy cofnąć się. Zawracamy z duszą na ramieniu, jednak słoń już nie ma; słychać tylko chrzęst łamanych gałęzi. Mieliśmy sporo szczęścia. Jacek opowiada nam historię, jaka przydarzyła mu się podczas safari w Republice Południowej Afryki kierowca jego samochodu, aby wyprowadzić pasażerów i pojazd z podobnej opresji, musiał uciekać na wstecznym biegu

przez prawie dwa kilometry.

Trzeba przyznać, że dzisiejszy dzień obfituje w zaskakujące wrażenia. Ciekawe, jaka przygoda czeka za następnym zakrętem? Na kupionym wczoraj planie znajdujemy miejsce, które wydaje się obiecywać moc atrakcji – promową przeprawę przez Luangwę. Jedziemy w tamtym kierunku przez dłuższy czas w upale i kurzu. Gdy już wydaje nam się, że zbłądziliśmy, wyjeżdżamy na szeroki pas piasku, a w dali widzimy rzekę i prom. Dojeżdżamy do brzegu w samą porę, by uzupełnić wodę w chłodnicy – pałący (w przenośni i dosłownie) problem nie daje zapomnieć o sobie. Podczas gdy Eckart i ja zajmujemy się ratowaniem silnika, a reszta przypatruje się naszym poczynaniom z bezpiecznej odległości, w naszym kierunku płynie już prom. Po kilku minutach dobija do brzegu, jednak tym razem nie mamy szczęścia – okazuje się bowiem, że na teren, do którego prowadzi przeprawa, nie mamy wstępu. Widok strażnika uzbrojonego w kałasznikowa mówi sam za siebie. Nie pozostaje nam nic innego, jak jechać gdzie indziej. Po przejściowych kłopotach z ruszeniem – nawet napęd na cztery koła nie pomaga – zwracamy ku głównej drodze.

W pewnym momencie naszym zdumionym oczom ukazuje się niezwykle widok – linia energetyczna rozpięta na potężnych słupach, niknąca na horyzoncie. Jesteśmy zdegustowani; park narodowy wydawał nam się być ostatnim miejscem, w którym można ujrzeć tak „odrażające” oznaki cywilizacji. Chwilę wcześniej widzieliśmy spore stado małp. Tomek i ja zastanawiamy się, czy zwierzęta nie giną wskutek porażenia wchodząc na słupy wysokiego napięcia.

Po kilkunastu minutach dojeżdżamy do stromego brzegu Luangwy, bez trudu dostrzegając w wodzie mnóstwo hipopotamów, w grupach po kilka-kilkanaście sztuk, na odcinku kilkuset metrów. Próbuje ocenić ich ilość – w polu widzenia udaje mi się naliczyć ponad sto sztuk tych ogromnych zwierząt. Z pewnością jest ich więcej, jednak ich nie zauważamy. Udaje nam się za to dostrzec kilka wygrzewających się w popołudniowym słońcu krokodyli i wiele ptaków, z których Zambia słynie.

Powoli kierujemy się ku wyjazdowi z parku. Chcemy jeszcze zrobić zakupy w Mfuwe, zatankować benzynę i odwiedzić farmę krokodyli, do której drogowskaz widzieliśmy niedaleko naszego campingu. Jednak zanim wydostaniemy się z królestwa zwierząt, musimy ominąć – dosłownie – przeszkodę w postaci stojącej na środku drogi samotnej żyrafy, wyraźnie zdziwionej naszą obecnością.

Stoimy przez chwilę mając nadzieję, że sama zejdzie na bok, jednak po chwili wzajemnego przypatrywania się sobie postanawiamy ominąć zwierzę. Żyrafa stoi niewzruszona, obserwując uważnie nasze manewry, aby w końcu dostojnie odejść i pozwolić nam przejechać. Zasada „animals have right of way” („zwierzęta mają pierwszeństwo [na drodze]”) jest jedną z podstawowych reguł obowiązujących w parkach narodowych – i słusznie, bo to my jesteśmy gośćmi w ich świecie.

Niedługo potem opuszczamy park i obieramy kurs na obozowisko, którego nazwy niestety nie pamiętam. Jesteśmy już porządnie głodni i mamy nadzieję, że nasz apetyt zostanie wkrótce zaspokojony. Na finiszu czeka nas jednak niemiłe rozczarowanie – w ciągu najbliższych dwóch godzin nie możemy liczyć na żaden posiłek. Postanawiamy zatem jechać na farmę krokodyli o obiecującej (i jednoznacznej, jak się nam wydaje) nazwie „Croc’s Farm” – może uda się zobaczyć budzące strach gady, a nawet zamówić jakiś specjał przyrządzony z ich mięsa? Niestety, kolejny zawód. Jedyne krokodyle, jakie są na farmie, to dwa małe okazy... zakonserwowane w formalinie. W pierwszej chwili sądzymy, że to żart, ale poważne miny pracowników skłaniają nas do zmiany zdania. Zostaje nam zatem wizyta w Mfuwe i wiara w zmianę asortymentu tamtejszych sklepów. Nasz optymizm okazuje się być całkowicie nieuzasadniony – znowu mamy do wyboru ciastka, herbatniki, krakersy, wafle i podobne smakołyki. Nie wierzymy własnemu szczęściu, gdy udaje nam się kupić chleb. Ze zdumieniem zauważamy w jednym ze sklepów piwo marki „Redd’s” w butelkach – rzecz, której nie widzieliśmy nawet w Polsce. Niemniej jednak Tomek i ja zaopatrujemy się w wyroby lokalnego przemysłu browarniczego – zimne „Mosi” z wizerunkiem Wodospadów Wiktorii na etykiecie. Napotykamy jednak na przeszkodę – nie możemy kupić piwa wraz z butelkami; są one tylko na wymianę. Umawiamy się zatem ze sprzedawcą, iż butelki pozostawimy rano przy wejściu do sklepu. Zgadza się bez żadnych zastrzeżeń, czym jesteśmy niezwykle zaskoczeni. W końcu, jaką ma gwarancję, że naprawdę zwrócimy butelki?

Po dokonaniu zakupów pozostaje nam jedynie wizyta na stacji paliw i powrót do „Flatdog’s Camp”. Tam, korzystając z faktu, że jest jeszcze jasno, składamy z Tomkiem nasz namiot i pakujemy wszystkie rzeczy do samochodu, w którym dzisiaj będziemy spać. Mamy bowiem zamiar wyjechać w drogę powrotną do Lusaki około trzeciej w nocy, a zwijanie wilgotnego od rosy namiotu do nie należy do najprzyjemniejszych zajęć na świecie.

Po spakowaniu się mamy czas na uiszczenie zapłaty za spędzone we „Flat-dog's” noce (gdy wędrujemy do recepcji, zatrzymuje nas mężczyzna z obsługi i w świetle latarki pokazuje nam stojącego nieopodal i skubiącego liście słonia – normalka w tych stronach), opisanie dzisiejszego dnia i kolejnych rolek filmu oraz posilenie się chlebem, zaś później, już długo po zachodzie Słońca, rozsiadamy się nad rzeką i, sącząc piwo, po raz ostatni nasłuchujemy odgłosów dochodzących z rzeki i parku, wdychamy specyficzny aromat panujący w obozowisku (przypuszczamy, że jego źródłem są jakieś rośliny), obserwujemy niebo bezskutecznie poszukując na nim Obłoków Magellana i oczywiście wymieniamy wrażenia. Co jakiś czas w różnych miejscach parku widzimy bijące w niebo reflektory samochodów patrolujących teren lub uczestników nocnych safari. Zastanawiamy się, czy takie zakłócanie spokoju nie wpływa w negatywny sposób na zwierzęta, zarówno te prowadzące dzienny, jak i nocny tryb życia. W pewnej chwili słyszymy plusk wody i widzimy niewyraźne kształty powoli przemieszczające się w poprzek rzeki i wychodzące z niej – to słonie, które widzieliśmy rano, wracają na „nocną” stronę.

Po osuszeniu kilku butelek złocistego trunku, opartego głównie na kukurydzy, postanawiamy złożyć głowy w aucie, by zgodnie z wcześniej ustalonym planem wstać o drugiej w nocy i obudzić resztę towarzystwa. Sen przychodzi szybko.

Rozdział 9

Dzień 9 – 18. czerwca, poniedziałek

Budzik wrywa nas ze snu, który dzięki właściwościom Lariamu bardziej przypomina surrealistyczny film. Gramoląc się z auta spotykamy Jacka, który jest już gotów do wyjazdu. Budzimy zatem resztę i - po doprowadzeniu się do porządku i ostatecznym spakowaniu – wyjeżdżamy z uśpionego obozowiska, kierując się do Chipaty. Zatrzymujemy się na chwilę w Mfuwe, by zgodnie z obietnicą postawić puste butelki przed wejściem do sklepu. Nie jesteśmy pewni, czy zostawiliśmy je we właściwym miejscu, ale nie ma czasu na szczegółowe rozważania – do Lusaki droga daleka.

Nierówna droga z Mfuwe do Chipaty schodzi w miarę szybko. Po lewej stronie, nisko nad wschodnim horyzontem, przyświeca nam cieniutki sierp Księżyca, któremu w odległości zaledwie kilku średnic tarczy Srebrnego Globu towarzyszy lśniąca jak klejnot siostra Ziemi – Wenus. Koniunkcja jest naprawdę widowiskowa; wrażenia potęguje niezwykle wyraźne światło popielate Księżyca, barwy świtu i niespotykana w polskich warunkach przejrzystość powietrza. Wiek Księżyca – zaledwie 3 dni przed nowiem – po raz kolejny uświadamia nam, że zaćmienie, na które tyle czekaliśmy, jest już tak blisko.

Po drodze mijamy – podobnie jak poprzednio – mnóstwo ludzi spieszących do pracy, dzieci idące z tornistrami do szkoły. . . W Chipacie nie zabawiamy długo. Mamy w pamięci niezbyt dobre wrażenie, jakie wywarło na nas to miasto kilka dni wstecz. Kierujemy się ku Petauke. Większość uczestników naszej ekspedycji zapada w sen – wytrąceni wczesną pobudką z normalnego dobowego rytmu odrabiają zaległości. Nawet Miriam, której pokłady sił witalnych zdają się być niewyczerpane, odpływa w objęcia Morfeusza. Śpiących nie są w stanie obudzić nawet dziury w nawierzchni, w które – chcąc czy nie – raz po raz wpadamy.

W Petauke robimy przystanek na zatankowanie paliwa oraz na posiłek. Poli-

cyjant z patrolu drogowego udziela nam wskazówek, jak trafić do – dobrej, jak sam poświadcza powagą swojej urzędowej osoby – restauracji. Faktycznie: przybytek, do którego trafiamy, na pierwszy rzut oka sprawia lepsze wrażenie niż wcześniej odwiedzane przez nas jadłodajnie. Jest czysto i schludnie, przed wejściem rosną obsypane purpurowymi i czerwonymi kwiatami krzewy, a sporych rozmiarów antena satelitarna za pośrednictwem szklanego ekranu przybliżyła nam świat – do czego zbytnio nie tęsknię. Tomek zamawia piwo i napotyka na stary problem - jak wyegzekwować resztę? Po upływie pół godziny postanawiam przeciąć ten gordyjski węzeł i zamawiam drugie piwo, płacąc za oba drobniejszymi nominałami. Szef już w wejściu zapewnia nas, że jedzenie będzie gotowe za piętnaście minut – i tak mija jeden kwadrans za drugim. . . Koniec końców dostajemy okazałe porcje dobrze odżywionego kurczaka z frytkami i surówką. Najedzeni i zadowoleni (pomijając fakt, że strwoniliśmy dwie godziny. . .) wyruszamy dalej, pozostawiając właściciela interesu bogatszego o siedemdziesiąt tysięcy *kwacha*.

Zatrzymujemy się jeszcze na kilka minut na stacji paliw – nasz samochód też potrzebuje jeść; szkoda tylko, że tak dużo i często. Przy okazji wymieniamy dolary na *kwacha* i kupujemy banany od ulicznych handlarzy. Poczynając od Petauke droga jest znacznie lepszej jakości. Samochód łyka kilometr za kilometrem (i litr za litrem, niestety). Zatrzymujemy się dopiero za mostem na Luangwa River, gdzie zaopatrujemy się w artykuły spożywcze (banany, ciastka i zimne napoje) oraz mniej potrzebne rzeczy: wyplatane ze słomy kapelusze, trzciniowe misy. . . Spotykamy też dwójkę młodych ludzi, Fina i Niemkę, którzy podróżują autostopem i właśnie udają się do Lusaki. Chętnie zabralibyśmy ich ze sobą, ale nie ma takiej możliwości – chyba, że na dachu auta.

Dalsza droga upływa spokojnie. Rozmawiamy o poczuciu bezpieczeństwa na prowincji, przyjaznej policji, wielkich możliwościach turystycznych Zambii, naszym dzielnym samochodzie (pomijając taktownie kwestię felernej chłodnicy). . . W pobliżu miejscowości Rufunsa zatrzymujemy się do kolejnej kontroli drogowej. Przy posterunku stoi już jeden samochód z białym kierowcą. Nie spodziewamy się żadnych kłopotów, tymczasem uzbrojony w karabin funkcjonariusz żąda okazania dokumentów samochodu i prawa jazdy Bohdana, który właśnie siedzi za kółkiem. Czujemy przez skórę, że nie pójdzie nam łatwo – a czas nagli: dochodzi czternasta, o godzinie siedemnastej mamy zwrócić samochód do wypożyczalni, a przed nami jeszcze około dwustu kilometrów.

Po odprawieniu wcześniej zatrzymanego kierowcy policjant przepuszcza bez kontroli kilka innych samochodów z czarnymi pasażerami i zabiera się za maglowanie nas, domagając się międzynarodowego prawa jazdy. My jednak upieramy się – bazując na informacjach uzyskanych na stronie WWW Ministerstwa Spraw Zagranicznych – iż polscy obywatele mogą prowadzić samochód w Zambii na podstawie polskiego prawa jazdy, o ile czas ich pobytu w Zambii nie przekracza sześciu miesięcy. Popiera nas Eckart twierdząc, że te same zasady dotyczą obywateli Niemiec. Wyciąga jednak międzynarodowe prawo jazdy, które wyrobił sobie przed podróżą do Chile. Nie przekonuje to policjanta, który – poniekąd słusznie – stwierdza, że samochód prowadził Bohdan. Poza tym uparcie domaga się książki wozu – psioczymy na Trevora z wypożyczalni, że nie dał nam wszystkich wymaganych przy ewentualnej kontroli dokumentów. Przypuszczamy jednakże, że policjant próbuje po prostu wymusić od nas łapówkę. Kiedy każe nam się oddalić i pozostaje sam z Eckartem i Bohdanem, nasze przypuszczenia przeradzają się w pewność. Drugi policjant, młodszy zarówno wiekiem, jak i stopniem, spokojnie czyta gazetę, w której znajdują się między innymi informacje o nadchodzącym zaćmieniu.

Kontrola kosztuje nas 20 000 K wręczone „w łapę” i - co ważniejsze - cenne pół godziny. Wiemy, że nie nadrobimy tej straty i spóźnimy się, co może nas narazić na dodatkowe koszty. Postanawiamy zatem zadzwonić z najbliższego publicznego telefonu do biura w Lusace i uprzedzić o spóźnieniu. „Najbliższy” telefon okazuje się być odległy o ponad 100 km; znajdujemy go w mieście Chongwe. W obecności eleganckiego mężczyzny w garniturze i pieczołowicie wypucowanych lakierkach, obsługującego biuro i publiczny telefon, tzw. „pay phone” (jedynie w Lusace widzieliśmy nieliczne automaty telefoniczne na żetony; infrastruktura telekomunikacyjna jest słabo rozwinięta, ale będzie jeszcze o tym mowa przy innej okazji) Eckart dzwoni do Lusaki i wyjaśnia sytuację, wspominając oczywiście o policyjnej kontroli. Uzyskujemy dispensę i przedłużenie czasu na oddanie auta o dwie godziny.

Do Lusaki pozostało nam około sześćdziesięciu kilometrów. Przebywamy je bardzo szybko, ponieważ Eckart i Jola chcą jeszcze dziś jechać wiecznym pociągiem do Livingstone. Pytanie, czy dziś pociąg w ogóle jedzie, a jeśli tak, to o której godzinie? Postanawiamy odwiedzić ich najpierw na dworzec, sprawdzić pociągi (co może przydać się również nam), zostawić bagaże w „Peace Gardens”

i odprowadzić auto do wypożyczalni. Przy zapadającym zmierzchu jedziemy na stację kolejową. Jola i Eckart wraz z Miriam idą zasięgnąć informacji, a my czekamy w samochodzie. Dworzec nie sprawia dobrego wrażenia: jest brudny, nieoświetlony, ludzie siedzą na stosach bagażu, wokół kręci się sporo nieciekawie wyglądających typów. Jak bardzo przypomina to niektóre polskie widoczki!

Raptem z przodu auta pojawia się młody mężczyzna, opiera się rękoma o nielowaną rurę i zaczyna kołysać naszym pojazdem. Zanim dotrze do nas, co się dzieje i zanim obudzą się w nas podejrzenia, za moimi i Tomka plecami otwiera się bagażnik, a na plecy spada mi zwinięta w rulon karimata, trzymająca się jedynie dzięki plecakowi przyciskającemu ją do dachu. Cała akcja trwa zaledwie kilka sekund, ale jesteśmy tak zaskoczeni, że zanim dochodzi do nas, iż padliśmy ofiarą kradzieży, złodziej (należałoby raczej pisać o nich w liczbie mnogiej) ucieka już z torbą prawie tak samo dużą jak on sam. Chłopak, który odwracał naszą uwagę kołysząc samochodem oczywiście ulotnił się jak kamfora. Iwona, Jacek i Bohdan stoją bezradnie, a Tomek i ja zablokowani siedzeniami, spoza których wydostanie się bez pomocy osób trzecich graniczy z cudem, możemy jedynie przypatrywać się w bezsilnej złości, jak plecak znika nam z oczu. Żaden z tubylców wokół nas nie zwraca (zapewne pozornie) uwagi na nas. Dwie minuty później spokojnie mija nas policyjny patrol, ale wiemy, że zawiadomienie ich o rabunku nic nam nie da, stracimy jedynie cenny czas.

Skradzionym plecakiem okazuje się być torba z ubraniami – szczęście w nieszczęściu, że tylko z nimi – Joli, Eckarta i Miriam. Cała trójka wraca właśnie z biletami do Livingstone, a my z duszą na ramieniu i wyrzutami sumienia patrzymy, jak idą w naszym kierunku. Wyjaśniamy im zaistniałą sytuację, tłumacząc gorączkowo przebieg zdarzenia. Na szczęście Eckart rozsądnie rozplanował rozłożenie bagażu: sprzęt optyczny i fotograficzny wewnątrz kabiny, namioty i śpiwory w jednej torbie, ubrania w drugiej... Raz jeszcze daje o sobie znać jego niezwykle opanowanie. Jest zdenerwowany, to jasne, ale jego decyzja jest natychmiastowa: zabieramy resztę bagażu i jedziemy do Livingstone. Ubrania można kupić na miejscu.

Iwona, Bohdan i Jacek zamykają się na cztery spusty w samochodzie, zaś Tomek i ja pomagamy Joli i Eckartowi zanieść bagaże do niewielkiej poczekalni dla pasażerów pierwszej klasy z miękkimi kanapami i telewizorem. Siedzi tam już kilka osób. Po chwili przychodzi pracownik kolei z zawiadomieniem, że pasa-

żerowie pierwszej klasy zostaną poproszeni o zajęcie miejsc dopiero wtedy, gdy do pociągu wsiądą pasażerowie klasy drugiej. Zostajemy jeszcze kilka minut, po czym żegnamy się i wychodzimy. Zanim ponownie wkroczymy do holu dworca, usłyszę z ust Tomka zdanie: „Staraj się być dwa razy większy niż normalnie”. Mądry Polak po szkodzie. . .

Patrząc z perspektywy czasu na to nieprzyjemne zdarzenie (właściwie jedyne przykre doświadczenie, jakie nas spotkało w Zambii) doszliśmy do wniosku, że niemalże zachęcaliśmy do niego: biali (synonim zamożności) w otwartym na oścież samochodzie (bagażnik co prawda był zamknięty, ale nie zablokowany), szybko zapadający wieczór, czujność uśpiona podczas pobytu na przyjaznej prowincji. . . Właściwie mogło nas to spotkać w każdym miejscu na Ziemi: w Lusace, Warszawie czy jeszcze gdzieś indziej. Poza tym dworce kolejowe są specyficznymi miejscami – spotykają się w nich często najgorsze męty. Cóż, nauczka na przyszłość. . .

Teraz prosto na nasz camping. Zostawiamy bagaże pod opieką Jacka i z przewodnikiem w osobie ochroniarza z „Peace Gardens” jedziemy odprowadzić auto do wypożyczalni. Na miejscu dopłacamy 300 \$ za dodatkowe 800 km, jakie „wyjeździliśmy” ponad limit (optymistycznie zakładaliśmy 1200 km. . .) i taksówką wracamy na gościnną posesję przy Tito Road No. 4. Całodzienna podróż i przykre przeżycia wieczoru wyczerpały nas, marzymy tylko o tym, by się napić, rozłożyć namiot i owinąć w śpiwór. . .

Rozdział 10

Dzień 10 – 19. czerwca, wtorek

Budzimy się wcześniej rano. Dziś czeka nas trudne i odpowiedzialne zadanie – znaleźć środek transportu do centrum pasa zaćmienia całkowitego. Jak wiadomo, na linii wyznaczającej oś symetrii pasa zaćmienie centralne (całkowite lub obrączkowe) trwa najdłużej. Lusaka leży co prawda w pasie, ale jest kilkadziesiąt kilometrów na południe od jego osi. Pięćdziesiąt kilometrów na północ od stolicy, w okolicach miasta Chisamba odbywa się dziesięciodniowy festiwal pod nazwą „Solipse”, zorganizowany z okazji zaćmienia. Dojazd jest tam stosunkowo łatwy, jednak boimy się tego, co o mały włos nie przydarzyło się naukowcom podczas zaćmienia całkowitego 11. sierpnia 1999 r. w Rumunii, gdzie przebywał wraz z grupą swoich studentów szef komisji d/s zaćmień Międzynarodowej Unii Astronomicznej prof. Jay Pasachoff. Niemal w ostatniej chwili dowiedział się on o planowanym przez władze miasta pokazie sztucznych ogni, jaki miał mieć miejsce w chwili zapadnięcia ciemności. Zniweczyło by to całkowicie plany przeprowadzenia naukowych obserwacji, jakie miała wykonać jego kilkunastoosobowa ekipa. Potrzebna była interwencja na drodze dyplomatycznej, by nie doszło do tej „katastrofy”. My o festiwalu dowiedzieliśmy się od młodych Belgów spędzających noc na campingu „Flatdog’s Camp” w parku narodowym. Inni z kolei, którzy specjalnie na ten festiwal ścignęli z różnych zakątków świata, od nas dowiadują się o jakimś zaćmieniu Słońca. . . Cóż, nie każdy jest takim zapaleńcem jak my.

Już wcześniej dowiedzieliśmy się, że właściwie nie mamy szansy na wynajęcie samochodu w wypożyczalni – wszystkie są już zarezerwowane. W związku z tym postanawiamy spróbować szczęścia na dworcu autobusowym. Im bliżej dworca jesteśmy, tym bardziej nachalnie próbują sprzedać nam swoje usługi tak-sówkarze, wspomagani przez licznych naganiaczy. Nam chodzi jednak nie o sa-

mochód osobowy, a o mikrobus. Planujemy bowiem jechać tak daleko na zachód, jak tylko zdołamy. Pierwotny plan przewidywał obserwację zaćmienia z okolic miasta Balovale (na niektórych mapach oznaczanego jako Zambezi), jednak nauczeni doświadczeniami ostatnich kilku dni wiemy, że nasze wcześniejsze ambitne zamierzenia wezmą w łeb.

Dyskutujemy zaciekle z kilkoma oferentami, ale nie dochodzimy do porozumienia. W końcu zapala się iskierka nadziei. Pokażna grupa naganiaczy prowadzi nas do autobusu, przy którym krząta się umorusany smarami kierowca. Rozmowa prowadzona w niezrozumiałym dla nas miejscowym dialekcie jest zażarta, ale zaproponowana przez nas cena nie satysfakcjonuje „biznesmenów”. Idziemy zatem dalej. Po następnym podobnym doświadczeniu postanawiamy pójść do biura zarządu dworca i spytać o możliwość wynajęcia autobusu. Decyzja okazuje się być dobra – po kilkunastu minutach czekania i poszukiwaniach kompetentnej osoby podchodzą do nas elegancko ubrani mężczyźni z wywieszonymi w eksponowanym miejscu telefonami komórkowymi (i znowu przypomina nam się Polska. . .). Ich prezencja budzi w nas zaufanie. Rozmowa jest krótka i rzeczowa. Pokazują nam autobus - świeżo umyte, solidnie wyglądające 26-miejscowe Mitsubishi. Wydaje nam się trochę zbyt duży jak na nasze skromne (7 osób) potrzeby, ale nie widzimy innego wyjścia. Poza tym po wielu godzinach umiarkowanych wygód w zapakowanym po kres możliwości Nissanie autobus wydaje nam się jeżdżącym pałacem. Udaje nam się wytargować cenę 750 000 K , w którą wliczone są już koszty paliwa. W przeliczeniu na osobę wypadnie to co prawda po sto tysięcy z groszami, ale i w nas odzywa się żyłka handlowa: możemy przecież spróbować zwerbować dodatkowych pasażerów spośród turystów w „Peace Gardens”, co znacznie obniżyło by koszty. Nasza decyzja brzmi zatem „tak”.

Wyjmujemy mapę i pokazujemy kierowcy miejsce, do którego chcemy dojechać: miasto Lubungu w granicach parku narodowego Kafue, około 180 km na północny zachód od Lusaki. Mamy lekkie obawy co do warunków wjazdu do parku – chcielibyśmy uniknąć płacenia za wstęp tak, jak było to w South Luangwa National Park. Mamy jednak nadzieję, iż mogą tam obowiązywać inne zasady – wybrana przez nas droga jest bowiem tranzytowa. Na mapie wygląda na dobrą – jeśli będzie taka, jak z Lusaki do Petauke, to nie powinno być żadnych kłopotów. Prawie 200 km to mniej więcej 4-5 godzin jazdy. Kierowca potakuje, zapewniając, że zna drogę. Mamy co do tego pewne wątpliwości, ale dochodzimy do wniosku

sku, że nawet jeśli coś poszłoby nie po naszej myśli, cały czas będziemy jechać wewnątrz pasa, a każdy dodatkowy kilometr przebyty w kierunku zachodnim wydłuża czas trwania zjawiska. Komuś może się to wydać śmieszne, ale w sytuacji, gdy przebywa się pół świata, by zobaczyć zaćmienie, każda sekunda jest na wagę złota. Zaświadczy o tym chyba każdy, kto miał okazję ujrzeć całkowite zaćmienie naszej Diennej Gwiazdy.

Umawiamy się na jutrzejszy dzień na podpisanie umowy (propozycja ta niezmiernie nas zaskakuje, ale tym bardziej utwierdza nas w przekonaniu, że mamy do czynienia z poważnymi ludźmi) i bierzemy „namiary” na naszych kontrahentów. Umówiliśmy się co prawda w ubiegłym tygodniu z kobietą, która chciała wynająć nam samochód do parku narodowego, ale szczerze mówiąc nie liczymy na jej pojawienie się. Teraz pozostaje nam jedynie przejść się po mieście, wrzucić coś na ząb, zrobić zakupy i wrócić do „Peace Gardens”, by się pobyczyć i spróbować znaleźć chętnych do uczestniczenia w ekspedycji.

Nadszedł czas na skreślenie kilku zdań o stolicy Zambii. Dłuższy spacer po jej ulicach odbędziemy co prawda dopiero jutro, ale nie będzie chyba nietaktem, jeśli umieścę niniejszy opis w ramach dnia dzisiejszego. Lusaka jest miastem brudnym – to trzeba powiedzieć otwarcie. Nie można jednak generalizować – nie wszędzie sytuacja wygląda jednakowo. Uwagę przykuwają ciągnące się wzdłuż ulicy głębokie rowy ograniczone wałami - wyglądają jak miniatura kanałów przeciwpowodziowych i prawdopodobnie takie jest ich zadanie podczas pory deszczowej, ale to tylko moje przypuszczenia. W wielu leżą odpadki; niekiedy fetor przypominający palone gnijące śmieci jest trudny do zniesienia. Mieszkańcy nie zwracają na nas uwagi w sposób bardziej nachalny niż Polacy na Murzyna. Patrzą na nas, to zupełnie naturalne, ale nie zaczepiają, nie wpatrują się nachalnie. Uwaga na marginesie: w Lusace mieszka jedna piąta z niemal 10 milionów obywateli kraju. Przechodzimy obok college’u, głównej komendy policji, wielu sklepów, które różnią się od polskich w niewielkim stopniu. Wchodzimy do ścisłego centrum, gdzie znajdują się banki, restauracje, kantory, bary szybkiej obsługi, sklepy z odzieżą, bazar, przykryta dachem duża hala targowa. . . W wielu miejscach zauważamy ochroniarzy, a na tarasie w pobliżu biurów mieszczących siedziby banków policjanta z kałasznikowem. Większość sklepów jest nieźle zaopatrzona, chociaż zdarzają się widoczki niczym żywcem wycięte z rzeczywistości znanej z filmu „Miś”.

Jako że nasza relacja jest udostępniana w Internecie, warto wspomnieć o tym, jak wygląda sytuacja Globalnej Pajęczyny – i w ogóle telekomunikacji – w Zambii. Otóż trzeba otwarcie powiedzieć, że całość nie sprawia najlepszego wrażenia. Telefonów na ulicach jest niewiele – właściwie nie ma budek telefonicznych, a te, które zauważyliśmy podczas kilku naszych spacerów po stolicy, można policzyć na palcach jednej dłoni; ustawiały się do nich długie ogonki. Na prowincji jest znacznie gorzej, jedynymi dostępnymi telefonami są – i to nie w każdej miejscowości – tzw. „pay phones” – niewielkie biura z jednym aparatem obsługiwanym przez specjalnego pracownika, naliczającego czas rozmowy i inkasującego opłatę. Trzydzieści sekund rozmowy z Polską kosztowało podczas naszego pobytu jedyne 20000 K. Trafiliśmy także w miejsce, w którym można łączyć się z Internetem. Jest to równie kosztowna przyjemność – 5000 K za 15 minut na słabym łączu trudno nazwać tanią usługą. Wprowadzone jest również rozróżnienie na surfowanie po stronach WWW oraz wysyłanie poczty. Ta ostatnia czynność jest o tyle ciekawa, że warto opisać ją osobno. Opłata naliczana jest bowiem za pojedynczą stronę, zaś list nie jest wysyłany od razu – poczta z całego dnia jest wysyłana hurtem, najczęściej wieczorem. Nie ma więc pewności, czy nasz e-mail dojdzie do adresata.

Z sieci korzystaliśmy w Livingstone, mieście położonym niedaleko Wodospadów Wiktorii. Kwadrans kosztował nas 3000 K. Łączyliśmy się z bramkami sieci komórkowych, by wysłać SMS-y do rodziny i znajomych w Polsce. Prędkość nie powalała co prawda na kolana, ale nam – przyzwyczajonym do polskich realiów – niezbyt to przeszkadzało; zmieściliśmy się w wyznaczonym czasie.

Wracając do obrazu stolicy: ogólne wrażenie, jakie wynieśliśmy z wędrowek po Lusace, było pozytywne. Nie spotkaliśmy się z wrogością ani niechęcią. Nie czuliśmy się też mniej bezpiecznie niż podczas spaceru po przeciętnym polskim mieście. Zapędziliśmy się co prawda na dosyć odległy od centrum miasta bazar, na którym robią zakupy przeciętni, niezamożni Zambijczycy. Trzeba uczciwie przyznać, że nasze dobre samopoczucie topniało tam wprost proporcjonalnie do drogi przebytej od granicy bazaru, toteż dosyć szybko i jednogłośnie postanowiliśmy zawrócić i nie szukać na siłę guza.

Po powrocie do „Peace Gardens” kupiliśmy piwo i usiedliśmy w trzciniowej altanie. Rozkoszując się smakiem zimnego „Mosi” snuliśmy plany na pojutrze i zastanawialiśmy się, na ile solidni okażą się nasi kontrahenci z dworca autobu-

sowego. Nie traciliśmy też czasu i z werwą rozpoczęliśmy werbunek chętnych do wzięcia udziału w ekspedycji i - oczywiście – partycypowania w kosztach przedsięwzięcia. Wystarczyło, że powiedzieliśmy o takiej możliwości zaledwie dwóm lub trzem osobom, a inni ludzie sami zaczęli się do nas zgłaszać w takim tempie, że w pewnej chwili straciliśmy rachubę i nie byliśmy pewni, czy ilość chętnych nie przekracza ilości dostępnych miejsc. Tak spędziliśmy czas aż do wieczora.

Kolejny dzień miał pokazać, czy wygraliśmy, czy wręcz przeciwnie.

Rozdział 11

Dzień 11 – 20. czerwca, środa

Tego ranka wstajemy niewiele później niż Słońce. Po śniadaniu (codzienna porcja jajek sadzonych i frytek) postanawiamy wyruszyć do miasta, mimo że pora jest wczesna, a umowę mamy podpisać o godzinie czternastej.

Spacerujemy zatem po Lusace, robimy zakupy na wieczór i jutrzejszy wielki dzień. Wstępujemy również do sklepu z akcesoriami i materiałami fotograficznymi. Niestety, klisze Fuji są niedostępne, pozostaje jedynie Kodak. Ku naszemu zdumieniu napis na opakowaniu informuje, iż importer to... Kodak Polska z siedzibą w Warszawie! Jak widać, nawet na „końcu świata” znaleźć można polski akcent. Opis naszych wrażeń z wędrówek po stolicy Zambii znajduje się powyżej, nie ma wobec tego sensu go powtarzać.

Na ulicach i w sklepach widzimy sporo turystów, otwarcie manifestujących – głównie na koszulkach – cel, w jakim tutaj przyjechali. Wzorów T-shirtów z różnymi „zaćmieniowymi” motywami widać zatrzęsienie; niektóre bardzo pomysłowe, jednakże ceny wydają się nam zbyt wygórowane jak na nasze – niezbyt zasobne – kieszenie. Co chwilę zaczepiają nas uliczni sprzedawcy, wymachujący garściami pełnymi okularów do obserwacji zaćmienia. Wiele sklepów oferuje najróżniejsze promocje w rodzaju „kup za tyle i tyle, a dostaniesz za darmo okulary”. Jak się jednak okazało nieco później, „zwyczajnym” Zambijczykom niełatwo było zdobyć owe okulary – najczęściej sprzedawcy wykręcali się ich brakiem lub proponowali cenę tak paskarską, że klient rezygnował. Najwidoczniej liczyli na zachodnich turystów i dlatego nie sprzedawali tego „towaru pierwszej potrzeby” swoim rodakom. Smutne to, ale prawdziwe. Syn właścicielki „Peace Gardens” zjeździł ponoć pół miasta, by zdobyć chociaż jedną parę – bezskutecznie. Sami widzieliśmy ceny rzędu 10, 15, a nawet 20 tysięcy *kwacha*.

Zdumiewa nas natomiast powszechność i rozmach rządowych przygotowań

do informowania o nadchodzącym zaćmieniu oraz profesjonalizm „Komitetu do spraw zaćmienia”, bo taką właśnie nazwę nosiło ciało, którego zadaniem było zadbanie o wszystko, co związane z tym niecodziennym zjawiskiem. Ulotki (formatu A4) w sklepach, dodawane do zakupów, zawierają mapę Zambii z zaznaczonym pasem całkowitości, tabelę z momentami zjawiska w najważniejszych miejscowościach kraju oraz – oczywiście – porady, jak bezpiecznie obserwować częściową fazę zaćmienia. W „lepszych” sklepach zamiast ulotki rozprowadzane są – wydane na kredowym papierze (sic!) – broszury z kolorowymi rysunkami i zdjęciami. Wiele gazet codziennie przez kilka dni przez 21. czerwca informowało o przebiegu zjawiska. Tak doskonale przygotowanej i szeroko zakrojonej kampanii uświadamiającej nie widzieliśmy nawet w Europie, podczas pamiętnego zaćmienia w sierpniu 1999 roku. Rząd przygotował dla Zambijczyków jeszcze jedną niespodziankę, ale o tym w dalszej części tekstu.

Na dworcu jesteśmy pół godziny przed czasem. Posilamy się frytkami (a jakże) i popijamy „Coca-Colą” – inne napoje są niedostępne (a jakże). Punktualnie o czternastej możemy odetchnąć z ulgą, gdyż na horyzoncie pojawiają się elegancko ubrani panowie, z którymi mamy nadzieję ubić udany interes. W asyście całej watahy pomocników prowadzą nas w ustronne miejsce, gdzie zasiadamy do spisywania treści umowy. Znajduje się w niej: opis trasy (Lusaka – Lubungu i z powrotem), warunki płatności (300 tys. K na początku, pozostałe 450 tys. – po powrocie do Lusaki), podpis Toma, kierowcy i świadka. Otrzymujemy jeden egzemplarz, oni zachowują drugi. Z kierowcą umawiamy się na jutro, na piątą rano.

Całkowicie zrelaksowani wracamy do „Peace Gardens”, gdzie tradycyjnie wlewamy w siebie butelkę schłodzonego „Mosi” i zabieramy za przygotowanie sprzętu, co zajmuje nam czas do wieczora. Pozostaje nam jedynie zawiadomić wszystkich chętnych o godzinie odjazdu autobusu, zjeść kolację, odczekać na swoją kolejkę w dzielonej przez przedstawicieli wielu nacji łazience i wskoczyć do śpiwora.

Rozdział 12

Dzień 12 – 21. czerwca, czwartek – DZIEŃ ZAĆMIENIA

Tomek i ja wstajemy o czwartej. Śniło mi się, że obudziłem się już po zaćmieniu, nie widząc go – koszmarna wizja. Jest jeszcze zupełnie ciemno, na niebie iskrzą się gwiazdy, nad wschodnim widnokrzem łśni Wenus, Mars chyli się ku zachodowi. Poranek jest dosyć chłodny, namiot pokryty jest rosą. Na dostanie się do łazienki nie mamy szans, myjemy się zatem pod kranem z zimną wodą w ogrodzie. Zamiast codziennego obfitego śniadania pospiesznie pochłaniamy chińskie zupki z torebek. Ich przygotowanie nie jest łatwe, gdyż jedna z naszych grzałek spaliła się i w dodatku działa tylko jedno gniazdko. Nie zwracamy jednak najmniejszej uwagi na te nic nie znaczące drobiazgi. Animuszu dodaje nam świadomość tego, co czeka nas już za kilka godzin. Nie możemy wprost uwierzyć, że to już TEN dzień.

Kilkanaście minut przed piątą czekamy już na placu przed domem. Ochrońniarz czuwa jak zwykle przy przenośnym piecyku, żując nieodłączną zapałkę. Im bliżej piątej, tym bardziej się denerwujemy. „Co będzie, jeśli nie przyjadą?” – Tom i ja zadajemy sobie to pytanie niezliczoną ilość razy. Jesteśmy w końcu organizatorami tej wycieczki, ludzie wierzą w nas. Są już wszyscy: piątka Anglików, dwójka Australijczyków, trójka Argentyńczyków (dla jednego z nich będzie to już piąte całkowite zaćmienie Słońca, jednak pierwsze poza kontynentem południowoamerykańskim) oraz my – Iwona, Bohdan, Jacek, Tom i ja. Joli, Eckarta i Miriam nie ma z nami – najwyraźniej postanowili obejrzeć zaćmienie z innego miejsca. Nie mamy od nich znaku życia od chwili ich wyjazdu do Livingstone.

Wychodzimy na ulicę, wypatrując autobusu, coraz bardziej podenerwowani. Kilka minut po piątej kamienie spadają nam z serc – zza zakrętu wyłaniają się

światła „naszego” autobusu. Nasz szacunek dla miejscowych biznesmenów sięga zenitu.

Pakowanie sprzętu przebiega sprawnie. W ostatniej chwili Tom zauważa brak wężyka spustowego do swojego „Canona” i biegiem wraca po niego do namiotu. Kolejne parę minut zajmuje nam pozbieranie od uczestników wyprawy po 20 tysięcy K „od łebka”, którą zgodnie z umową przekazujemy kierowcy. Towarzyszy mu dwóch pomocników; jeden z nich okaże się być zmiennikiem. Jest niespełna kwadrans po piątej. Błdy świt nieśmiało różowi niebo na wschodzie. Ruszamy po przygodę i... księżycowy cień.

Miasto jest jeszcze puste i uśpione o tej porze. Mijamy nieliczne samochody i niewielu przechodniów. Kosmopolityczne towarzystwo, jakie mamy na pokładzie, wyraźnie się rozbudziło po wczesnej pobudce i rozprawia z żywieniem o czekającym nas zjawisku. Tomek i ja zbieramy tymczasem resztę pieniędzy potrzebną na zapłacenie reszty należności. Po kilkunastu minutach opuszczamy Lusakę i obieramy kierunek dokładnie na zachód, by krótko potem skrócić nieco na północ. Nagle po prawej stronie drogi wyrastają wielkie i mniejsze anteny, przypominające radioteleskopy. Ich ciemne sylwetki malowniczo rysują się na tle porannej zorzy. Domyśliśmy się, iż mamy przed oczami stację satelitarną do odbioru i nadawania sygnału z satelitów telekomunikacyjnych.

Cały czas znajdujemy się w pasie całkowitego zaćmienia, jesteśmy zatem zabezpieczeni na wypadek jakiejś awarii lub innego nieszczęścia. Pragniemy jednak znaleźć się jak najbliżej centralnej linii pasa całkowitości – na niej właśnie zjawisko trwa najdłużej. Według naszych obliczeń mamy przed sobą około 200 kilometrów drogi. Sądzimy, że uda nam się ją pokonać w cztery, maksymalnie pięć godzin, wliczając w to ewentualne kłopoty z opłatą za wjazd w granice parku narodowego. Powinniśmy zatem mieć sporą rezerwę czasową na wybór odpowiedniego miejsca obserwacji i przygotowanie sprzętu.

Jak to zwykle w takich sytuacjach bywa, życie weryfikuje optymistyczne założenia. Droga okazuje się być znacznie gorsza niż zakładaliśmy; w niczym nie przypomina znakomitej szosy z Lusaki do Petauke. Po przebyciu paru kilometrów dochodzimy do przykrego wniosku, że stan nawierzchni jest chyba nawet gorszy niż na odcinku Petauke – Chipata. Co chwilę wpadamy w mniejsze i większe dziury, z przewagą tych ostatnich niestety. Od czasu do czasu wyrastają przed nami złowrogie „potholes” – nazwa ta doskonale oddaje ich złowieszczy charakter.

„Pot” oznacza bowiem donicę, zaś „hole” to dziura. Rzeczywiście – są to potężne, głębokie wyrwy w asfalcie, na których stęka i trzeszczy całe podwozie. Kierowca zwalnia i przez następne dwie godziny wlecemy się „czterdziestką”, czasem jeszcze wolniej, momentami niemal zatrzymując się. Coraz bardziej zaniepokojeni spoglądamy to na zegarki, to na siebie i znowu na zegarki. Czas upływa nieubłaganie, Słońce jest coraz wyżej i grzeje z coraz większą siłą.

Po kolejnej godzinie ślimaczenia się jesteśmy niemal pewni, że nie dojedziemy do Lubungu. W miejscowości Mumbwa błędzimy przez chwilę (nasze przypuszczenia co do znajomości drogi przez kierowców zostały tym samym potwierdzone) skręcamy z głównej drogi (określenie „główna” pasuje do niej jak pięść do nosa) w boczną, która podejrzanie przypomina trasę z Chipaty do South Luangwa National Park. Nasi czarnoskórzy przewodnicy są wyraźnie zdziwieni stanem drogi, ale starają się sprawiać wrażenie obytych z terenem. Jednakże coraz częstsze spojrzenia na mapę, coraz rzadsze śmiechy i dłuższe, nieco nerwowe rozmowy w niezrozumiałym dla nas narzeczu zdradzają targające nimi sprzeczne uczucia.

Miny rzedną im do reszty (nam zresztą również), gdy w drodze pojawiają się rozpadliny długie na kilka-kilkanaście metrów, szerokie na kilkadziesiąt centymetrów i tak samo głębokie. Miejscami droga wydaje się całkowicie nieprzejezdna, jednak młody, niewysoki kierowca doskonale radzi sobie za kółkiem. Autobus jest zawieszony niżej niż „Nissan”, którym poruszaliśmy się po parku narodowym, zaś jego projektanci nawet w najgorszych koszmarach nie śnili, na jakie próby będzie wystawiona ich konstrukcja. „Mitsubishi” spisuje się jednak dzielnie. Nic jednak nie jest w stanie zmienić faktu, że posuwamy się ze średnią prędkością 5-10 kilometrów na godzinę. Ludzie, których co jakiś czas spotykamy, patrzą na nas ze zdumieniem, ale zgodnie twierdzą, że droga, na której się znajdujemy, prowadzi do Lubungu.

W pewnej chwili widzimy za sobą tumany pyłu. Niewielka kawalkada samochodów terenowych brnie za nami. Pozwalamy im się wyprzedzić i zatrzymujemy, by zamienić kilka słów. Początkowo świta we mnie przypuszczenie, że mogą to być Belgowie, którzy udostępnili nam klisze i filtry polaryzacyjne, okazuje się jednak, że to amerykańscy weterani zaćmień. Żegnamy się i ruszamy dalej. Chwilę później spotykamy jeszcze jeden samochód, którym podróżuje para młodych ludzi. Wszyscy ciągną na zaćmienie jak ćmy do ognia.

Nasi współtowarzysze (i klienci, jakby na to nie patrzeć) wydają się być nieco

zdezorientowani – i trudno im się dziwić. Powoli dojrzewa w nas myśl, by zacząć rozglądać się za odpowiednim miejscem do obserwacji zaćmienia. Propozycja pada na podatny grunt. Niestety – zewsząd otacza nas gęsty busz z mnóstwem karłowatych, podobnych do parasola drzewek. Tymczasem droga nieco poprawia się (czytaj: możemy jechać z mniej więcej stałą prędkością 20 km/h), co jakiś czas w buszu pojawiają się i znikają niewielkie wypalone polanki, jednak nic nam po nich, skoro otacza je gęsta roślinność. Najczarniejsze scenariusze przelatują przez moją głowę. Przejechać pół świata, by oglądać najpiękniejsze zjawisko, jakie może nam dać Natura, ze środka lasu. . . Na domiar złego gdzieś widać dymy unoszące się nad płonącym buszem – da się nam to we znaki podczas zaćmienia, ale nie wyprzedzajmy faktów.

W pewnym miejscu wypalona polana jest dosyć spora, ale niepokoi nas nieco bliskość ognia i dymu. Jest to jednak bez wątpienia najlepsze miejsce, jakie do tej pory znaleźliśmy. Wsiadamy z autobusu i rozglądamy się, zastanawiając się, co robić w tej sytuacji. Rozbudzone nadzieje domagają się dalszych poszukiwań. Część uczestników wyprawy przedstawia propozycję, by jechać dalej i szukać „czegoś lepszego”. Po dyskusji i głosowaniu dochodzimy do wniosku, że pojedziemy dalej przez następne pół godziny, a jeśli nie zdołamy znaleźć „nic lepszego”, wrócimy w miejsce, w którym właśnie debatujemy.

Ruszamy zatem dalej przed siebie. Po upływie mniej więcej kwadransa po lewej stronie drogi busz urywa się jak nożem uciał i naszym zrezygnowanym oczom objawia się cudownie rozległa, otwarta przestrzeń. Nie wierzymy własnemu szczęściu. To jest to! Wszyscy jednogłośnie wyrażają swoją aprobatę – zostajemy. Kierowca i jego towarzysze oddychają z ulgą. W końcu ci stuknięci biali wydają się być zadowoleni. . .

Spróbuję dokładniej opisać „nasze” miejsce. Jest to sporej wielkości pole (wskazują na to uschnięte resztki łodyg kukurydzy, leżące gdzieś w dużych pryzmach), opadające łagodnie od drogi. Horyzont jest otwarty w kierunku zachodnim (znakomicie – jak na dłoni będziemy mieli nadciągający cień Księżyca), daleko widać wzniesienia. Dwa niewysokie pagórki ograniczają pole. Rośnie na nim kilka potężnych drzew i niewielki, zwarty, zielony gaj małych drzewek, prawdopodobnie owoców cytrusowych. Droga wjazdowa zamknięta jest prowizorycznym szlabanem – lepiej byłoby chyba powiedzieć: kawałkiem gałęzi opartym na dwóch słupkach. Obok szlabanu stoi niewielka chatka kryta trawą. Siedzący

przed nią mężczyźni nie mają nic przeciwko naszej obecności i po krótkich negocjacjach pozwalają nam wjechać głębiej na pole. Nad drogą, którą przyjechaliśmy, góruje wysoka góra, pokryta rzadszym niż na naszej wysokości buszem.

Postanawiamy wdrapać się na jeden z pagórków. Jednakże jest on porośnięty wysoką, twardą i niebywale kłującą trawą, tak że po zaledwie kilku krokach wycofujemy się i szukamy innej drogi. Kilka kolejnych prób kończy się niepowodzeniem. Nasz atak odpiera także drugie wzniesienie. Rezygnujemy zatem i rozkładamy sprzęt w cieniu drzewa, rosnącego w najniższym miejscu pola. Tuż obok niego jest studnia – świetne miejsce, by oprzeć się o cembrowinę podczas robienia zdjęć „z ręki”. Z nieba leje się żar, wszyscy chowają siebie i sprzęt w cieniu. Tomek i ja jesteśmy pochłonięci przygotowywaniem sprzętu. Zakładamy klisze, ustawiamy statyw, zakładamy i testujemy filtr polaryzacyjny oraz drugi, z folią mylarową, instalujemy elektroniczny termometr do pomiaru temperatury powietrza w dwóch punktach: tuż nad gruntem oraz dwa metry wyżej. . . Niestety, Tomek zauważył wczoraj, że z jarzma jego teleobiektywu w tajemniczy sposób zniknęła niewielka śrubka, bez której nie uda nam się ustawić obiektywu w odpowiednim położeniu. Podczas gdy łamiemy sobie głowy nad rozwiązaniem tego nieprzewidzianego problemu, podchodzi do nas jeden z Argentyńczyków. Po naszych wyjaśnieniach przynosi nam rolkę solidnej, elastycznej taśmy klejącej „Scotch”. „Nie ruszam się bez niej na żadne zaćmienie” – mówi z uśmiechem, wręczając nam rolkę. Parę ruchów i jesteśmy uratowani.

Naszym przygotowaniom uważnie przygląda się grupa kilkunastu tubylców, którzy pojawili się błyskawicznie po naszym przyjeździe. Co ciekawe, są to wyłącznie mężczyźni. „Kobiety i dzieci pewni zostawili w domach na wszelki wypadek” – zastanawiamy się.

Pierwszy kontakt – wielkie przedstawienie rozpoczęło się! Patrząc na Księżyc powoli nasuwający się na Słońce dopiero teraz dochodzi do nas z całą jasnością, że już nie ma odwrotu – nic nie jest w stanie odebrać nam zaćmienia. Jednak coś tutaj nie pasuje – Księżyc pojawił się z lewej strony Słońca! „Jasne, przecież to południowa półkula” – uświadamiam sobie po chwili.

Jedyną rzeczą, jaka wywołuje u nas pewien lęk, jest obecność dymu unoszącego się nad buszem za naszymi plecami. Powoli rozrzedza się, ale jednocześnie wznosi coraz wyżej i pokrywa znaczną część nieba delikatną zasłoną. Ku naszemu niezadowoleniu dociera też w te okolice nieba, gdzie właśnie znajduje się Słońce

z Księżycem. Szczęście w nieszczęściu, że nie widać ani jednej chmurki – kilka dni temu zupełnie się wypogodziło; ostatnie dni w Lusace były bezchmurne.

Robimy zdjęcia, mierzymy i notujemy temperaturę. Gdy przyjechaliśmy, wynosiła ona w cieniu drzewa niemal 30 stopni Celsjusza. Im większa faza zaćmienia, tym chłodniej. Wartość temperatury nad gruntem jest – w każdym momencie – wyższa niż na powierzchni Ziemi. Nasi czarnoskórzy obserwatorzy zniknęli tak szybko, jak się pojawili, unosząc ze sobą podarowaną przez nas parę mylarowych okularów do obserwacji zaćmienia. Wyraźnie widać zmianę barw i kontrastów całego otoczenia. Szczególnie dobrze jest to dostrzegalne na liściach cytrusowego sadu – zieleń ich liści nie ma odpowiednika w „normalnych” warunkach. Również cienie są głębsze, bardziej „gęste”, jeśli można to tak określić.

Już około trzech czwartych Gwiazdy Diennej jest zakryte przez Srebrny Glob. Zamiast zerkać ku górze, wolę spoglądać pod nogi. Setki obrazów słonecznego sierpa rozpościerają się na czerwonawej, rozgrzanej ziemi. To naturalna *camera obscura* – efekt przeświecania promieni Słońca przez szpary między liśćmi drzewa. Podobny rezultat można uzyskać krzyżując palce obu dłoni. Inny sposób – ustawiamy pryzmatyczną lornetkę obiektywami ku Słońcu i po kilku próbach znalezienia odpowiedniej odległości rzutujemy dwa wyraźne sierpy na kartkę papieru. Tych kilka prostych obserwacji sprawia nam wiele uciechy.

Zrobiło się wyraźnie chłodniej. Pojawił się wiatr, początkowo delikatny i niemal niezauważalny, jednak z czasem coraz mocniejszy. Wraz ze spadkiem temperatury otoczenia odezwały się owady, skryte do tej pory w cieniu traw. Dają teraz niezły koncert. Nadal czekamy, ale napięcie sięga zenitu. Nawet Jacek, który do tej pory twierdził, że przyjechał tylko dla Afryki, a zaćmienie niezbyt go interesuje, jest lekko podekscytowany. Jakże zazdrościmy tym, którzy przeżyją wszystko po raz pierwszy!

Na cembrowinie studni położyłem swój aparat oraz notatnik i automatyczny ołówek. Wracam tam co kilka minut, by zrobić kolejne zdjęcie i zanotować temperaturę. Jednak za którymś z kolei razem ze zdziwieniem zauważam, że ołówek zniknął. Szukam go wokół studni – nie ma. „Niemożliwe” – myślę, ale zaglądam w głąb. Delikatne kręgi rozchodzące po lustrze wody kilka metrów niżej są niemyymi świadkami nieszczęścia, jakie rozegrało się przed chwilą. Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło – gdy stąd wyjedziemy, wszyscy o nas zapomną, a po mnie zostanie pamiętka. Może za ileś lat ktoś zajrzy do studni i znajdzie tam

mój ołówek, zastanawiając się, skąd u licha wziął się w studni...? Zagadką pozostaje, jak znalazł się w wodzie. Chwila zadumy, patrzę jak wiatr podwiewa kartki notatnika... No tak, wszystko jasne.

Tomek woła mnie, bym pomógł mu w ostatniej kontroli sprzętu. Do początku fazy całkowitej zaledwie kilka minut. Jest już mroczno, dym z pożaru pokrywa dużą część nieba, wydaje się ciemniejszy i jakby groźniejszy – efekt zwiększonego kontrastu. Boimy się, czy uda nam się dojrzeć koronę.

Jesteśmy już w euforii. Trzy minuty! Wiatr gwałtownie cichnie, cykady nadal grają. Mam gęsią skórkę, jest mi zimno, ale nie zwracam na to uwagi. Nie potrafię oderwać oczu od Słońca. Został wąziutki sierp po prawej stronie Księżyca. Spoglądamy na zachód, niebo jest tam wyraźnie ciemniejsze. Cień nadchodzi! Nie widzimy jego granic tak jak na Węgrzech, gdzie obecność chmur w pewnym sensie pomagała – na granicy stożka cienia (który dla nas jest raczej słupem) chmury były ciemne, poza stożkiem – jasne.

Nagle przypominam sobie o czymś, co bardzo chciałem zobaczyć. Niemal zupełnie wypadło mi to z głowy w natłoku emocji. Spoglądam na ziemię i szczyłka opada mi ze zdumienia. Latające cienie – tysiące pasm światła i cienia odległych od siebie o kilkanaście centymetrów przesuwa się po powierzchni Ziemi, po drodze i trawach – po prostu wszędzie tam, gdzie podłoże ma mniej więcej jednorodną barwę. Jestem zafascynowany, podobnie jak Tomek, któremu pokazuję to чудо. Przesuwają się nadzwyczaj szybko. Prędkość ich ruchu sięga kilku metrów na sekundę. Ich obecność wyjaśnia się wielokrotnym załamaniem światła w nieznacznie różniących się gęstością warstwach dolnej atmosfery. Poruszają się z prędkością, która jest rzędu prędkości wiatru. Trudno jest opisać ich piękno i złożoność komuś, kto nigdy nie miał okazji ich widzieć. Najbardziej zbliżony efekt (choć wciąż bardzo odległy od rzeczywistości) znany „z życia” to pasma i odbłaski światła na dnie basenu, w którym woda delikatnie faluje.

Jeszcze tylko kilkanaście sekund. Szalejemy, nie możemy sobie znaleźć miejsca. Cień nadciąga z przerażającą prędkością kilkuset metrów na sekundę, po prostu pochłania wszystko po drodze. Horyzont wokół nas szybko zmienia barwy. W końcu cały sprawia wrażenie, że dookoła nas mamy zachód Słońca; brązy, pomarańcze, czerwienie, róże, żółcie dominują. Spoglądamy teraz na Słońce. Nagle – błysk! Pierścień z diamentem wykwita po prawej stronie księżycowego dysku. Ludzie krzyczą, my z Tomkiem również nie powstrzymujemy emocji. Pierścień

widać zaledwie kilka sekund, znika tak prędko, jak się pojawił. Szybko gasną ostatnie perły Baily'ego – drobne punkciki światła na granicy tarcz Słońca i Księżyca; to promienie słoneczne prześwitujące między górami i dolinami na brzegu Srebrnego Globu.

I wtedy pojawia się okazała korona. Jest ogromna i jasna. We wszystkich kierunkach strzelają z niej długie promienie. Na prawym brzegu, mniej więcej na wysokości godziny drugiej, wyrasta potężna protuberancja, widoczna bez trudu gołym okiem. Stoimy jak wrośnięcie w ziemię, napawając się tym wspaniałym widokiem przez kilkanaście sekund, po czym z żalem biegniemy do naszego sprzętu, by wykonać zdjęcia z filtrem polaryzacyjnym. Pech nas niestety nie opuszcza – po raz kolejny zaginał wężyk spustowy do aparatu, musimy zatem posiłkować się samowyzwalaczem, który ma czas opóźnienia równy dziesięciu sekundom – cała wieczność w tej chwili. Tomek ustawia dyktowane przeze mnie parametry, zwalnia migawkę i przestawia filtr, ja notuję. Wolne sekundy wykorzystujemy na spoglądanie w górę. Szukam planet i gwiazd. Korona jest jednak tak jasna, że blisko zenitu zauważam tylko Syriusza – najjaśniejszą gwiazdę całego nieba oraz – blisko Słońca, po jego lewej stronie – Jowisza. Dookoła strzelają migawki, słychać pełne podniecenia okrzyki.

W pewnej chwili mam wrażenie, że niebo na zachodzie robi się nieco jaśniejsze, ale szybko uznaję, że to złudzenie. Kolejne zdjęcie – i z nagłą robi się jasno. „To niemożliwe!” – coś we mnie nie wierzy w to, co się dzieje. Rzucam wszystko i dopadam swojego aparatu. Ręce drżą mi z emocji, ciężki teleobiektyw nie zamierza patrzeć na Słońce. Pstrykam dwa zdjęcia z ręki. Wiem, że nic z nich nie będzie, ale to jest silniejsze ode mnie. Trzeci kontakt, znowu pierścień z diamentem – koniec spektaklu. Patrząc na Tomka wiem, że wyglądam tak samo – w oczach bezbrzeżne zdumienie i bezgraniczny żal. „To już?” – pytamy się nawzajem. „Po wszystkim? Gdzie te trzy i pół minuty? To niemożliwe, to tyle nie trwało!”. Jak to jest, że ostatnie minuty w nudnej pracy czy na wykładzie rozciągają się jak guma, a podczas zaćmienia wydają się być krótkie jak mrugnięcie powieką?

Ponownie widzimy „latające cienie” i słup księżycowego cienia odchodzący na wschód, by zadziwić innych spragnionych wrażeń obserwatorów, którzy wpatrują się w niebo z takim samym napięciem jak my kilka minut temu. Horyzont przybiera zwyczajną, niebieskawą barwę; dymy przestają być widoczne. Ku na-

szemu zaskoczeniu temperatura wciąż powoli spada, jest teraz zaledwie piętnaście stopni – dwukrotnie mniej niż przed zaćmieniem! Na metalowych korpusach aparatów i obiektywów, na nogach statywu utworzyła się rosa – niesamowity widok. Zakładam bluzę z długim rękawem. Cykady nadal grają jak oszalałe. Znowu czujemy wiatr. Po kilkunastu minutach powoli zaczyna się ocieplać. Owady powoli cichną, wiatr się uspokaja. . . Ludzie wydają się jakby przygaszeni, przytłoczeni urodą zjawiska i jego ulotnością. Nie jesteśmy wyjątkami – tyle miesięcy przygotowaliśmy, rozmyślań, dyskusji. . . W ostatnim okresie przed wyjazdem żyliśmy tylko Afryką i zaćmieniem, nasze rozmowy zdominowane były wyłącznie przez te dwa tematy. Pstryk, trzy minuty – i po wszystkim. To było tak piękne i jednocześnie tak nieuchwytnie, że gdzieś w środku pozostaje nieutulony żal, że to już koniec. Czy warto było tyle na to czekać, wydać masę pieniędzy przed i w trakcie – i to dla tych trzech minut z kawalkiem? Jedyne słuszne odpowiedzi brzmi: „Oczywiście, że tak!”. Jesteśmy uzależnieni – następne zaćmienie „już” za półtora roku, znowu w południowej Afryce. Czas zacząć przygotowania do następnej wyprawy. . .

Zaćmienie jeszcze trwa, ale większość ludzi zaczyna składać sprzęt i pakować się. Niektórzy po prostu siedzą zatopieni w myślach. Ponownie pojawiają się czarnoskórzy mężczyźni, którzy wcześniej nam asystowali. Nasi współtowarzysze robią ostatnie zdjęcia i nagrywają ostatnie minuty naszego pobytu na kamery wideo. Do ostatniego kontaktu notuję wartości temperatury i pstrykam zdjęcia fazy częściowej – bardziej z poczucia obowiązku niż z autentycznej ochoty.

Kilkanaście minut po zakończeniu fazy częściowej jesteśmy gotowi do odjazdu. Lokujemy się zatem w autobusie i po krótkim pożegnaniu z ludźmi, którzy umożliwili nam wjazd na pole, wyruszamy w drogę powrotną. Jak bardzo odmienna jest ta część podróży! Nikt nie rozmawia, wszyscy są zamyśleni, część zasypia. . . Droga, która wcześniej wydawała się nam atrakcyjna ze względu na jej wygląd, a przede wszystkim dlatego, że jadąc nią rano wszystko było jeszcze przed nami, teraz dłuży się niemiłosiernie. Słońce zachodzi, nadchodzi noc. W ciemności wszystkie odgałęzienia drogi wyglądają jednakowo; zastanawiamy się, w jaki sposób kierowca znajdzie wśród nich tę właściwą.

Najwyraźniej jednak nie doceniamy kierowcy, gdyż po około dwóch godzinach powolnej jazdy, a raczej przetaczania się przez dziury i rozpadliny docieramy do Mumbwa. Tam – znowu po krótkim błędzeniu i przypadkowym trafieniu na posterunek policji, która skierowała nas na właściwą drogę – wyjeżdżamy na główną

ulicę miasta. Kierowca zatrzymuje autobus przy otwartej restauracji, wokół której kręci się wielu ludzi. Wiele osób trzyma w dłoniach piwo. Fetują zaćmienie – kolejnym prezentem dla obywateli jest fakt uczynienia przez rząd dzisiejszego dnia świętem narodowym i dniem wolnym od pracy. Jakiś mężczyzna wchodzi do autobusu nieco chwiejnym krokiem i wylewnie dziękuje nam za przyjazd do ich kraju, za zaćmienie, za wszystko. . . Z tyłu wtórują mu inni. Ich zdumieniu nie ma końca, gdy zapowiadamy, że za półtora roku cień Księżycy znowu odwiedzi ich kraj.

Po około dwudziestu minutach, gdy większość naszych współtowarzyszy zaczyna się niepokoić całą sytuacją, kierowcy wracają z tacami pełnymi jedzenia. Zmieniają się za kółkiem i ruszamy. Jeden z nich przyrządza w drodze drinki z wartości kupionej wcześniej niewielkiej butelki; otwierają także piwo. To musiał być dla nich ciężki dzień.

Po kolejnych trzech godzinach i „zaliczeniu” niemożliwej do oszacowania liczby mniejszych i całkiem sporych dziur w asfalcie, docieramy do uspiętej stolicy. Podczas gdy nasi ziewający współtowarzysze wypakowują swoje bagaże, Tom i ja regulujemy resztę należności. Początkowo kierowcy usiłują wymóc na nas większą zapłatę za to, że nie spodziewali się tak złej drogi (animuszu zapewne dodaje im wypity w powrotnej drodze alkohol), ale szybko ucinamy dyskusję wypominając im, że *primo* – wcześniej twierdzili, że znakomicie znają drogę, *secundo* – koniec końców nie dojechaliśmy do celu, czyli Lubungu. Podsumowując: nie wywiązali się z umowy, nie mają zatem prawa domagać się wyższej zapłaty. Ten argument zamyka im usta.

Około północy, znużeni pełnym wrażeń dniem, idziemy spać. Na maszcie podpierającym przedsionek naszego namiotu znajdujemy napisaną po polsku kartkę. To list od Joli i Eckarta. Ich namiot stoi tuż obok naszego. Proponują nam wyprawę na południe kraju, nad jezioro Kariba. Zastanawiając się nad ich propozycją zapadamy w głęboki sen.

Tej nocy znowu śni mi się zaćmienie. . .

Rozdział 13

Dzień 13 – 22. czerwca, piątek

Wstajemy wczesnie rano, obudzeni przez Jolę pytającą, czy zamierzamy się z nimi wybrać. To zaledwie sto kilometrów na południe od stolicy. Kilka sekund zastanowienia i - „tak”, brzmi nasza odpowiedź. Tej wycieczki nie planowaliśmy, jest więc tym bardziej atrakcyjna. Wodospady Wiktorii mogą zaczekać, poza tym mamy przed sobą jeszcze tydzień, szkoda tracić czas w Lusace.

Zwijanie namiotu i pakowanie się idzie nam bardzo sprawnie, tak że po niepełna pół godzinie jesteśmy gotowi do drogi. Eckart wynajął samochód w wypożyczalni na lotnisku. Tym razem nie jest to jednak auto terenowe, a zwyczajne Daewoo Nubira. Tomka i mnie zaskakuje obecność półtorametrowej, wykonanej z drewna. . . żyrafy, która ma być ozdobą mieszkania Joli i Eckarta.

Wyjeżdżamy. Dzień jest słoneczny i bezchmurny jak wczoraj. Miriam znowu skutecznie swoje harce, sprawiedliwie dzieląc czułości i szturchańce pomiędzy „ciocię Marysię”, czyli Tomka, oraz „wujka Jeża”, czyli mnie. Ochrciła nas tymi imionami już w drodze do parku narodowego i nie zrezygnowała z nich do samego końca. Jazda jest spokojna, rozmawiamy o zaćmieniu (Eckart i Jola oglądali je z miejsca o nazwie Landless Corner, około 50 kilometrów na północ od Lusaki, blisko centralnej linii pasa), opowiadają nam wrażenia z pobytu nad Wodospadami Wiktorii. . . Słuchając ich coraz mocniej utwierdzamy się w przekonaniu, że musimy zobaczyć ten cud natury.

Tuż za miastem Kafue dojeżdżamy do mostu przerzuconego nad rzeką o tej samej nazwie i zatrzymujemy się tam na moment, oczarowani urodą okolicy. Nad brzegiem rzeki stoi kamienny postument z umieszczoną na nim pamiątkową tablicą informującą, iż most został zbudowany ze środków rządu Japonii. Nietrudno zauważyć w Zambii rozmach inwestycji azjatyckiego giganta gospodarczego. Zdecydowana większość samochodów to pojazdy produkcji japońskiej, głów-

nie Toyoty, Mazdy, Mitsubishi, o naszym Nissanie nie wspominając. Widzieliśmy także bank japońsko – zambijski i okazałą ambasadę Kraju Kwitnącej Wiśni.

Około dwudziestu kilometrów za Kafue, kiedy zdążyliśmy już pochwalić drogę, słyszymy krótki, głośny łomot dochodzący najwyraźniej spod naszego auta oraz syk powietrza. Czyżbyśmy złapali gumę? Zatrzymujemy się na poboczu i wysiadamy. Nie możemy wprost uwierzyć w to, co się stało. Oba koła po lewej stronie są uszkodzone. Ba, żeby była to zwyczajna „guma”! Stało się jednak coś gorszego – obie felgi są mocno wgniecione i to właśnie tędy uszło powietrze. Opony na szczęście wytrzymały. Koło zapasowe mamy rzecz jasna tylko jedno. Operacja wymiany koła okazuje się być dosyć skomplikowana, wieloetapowa i - przede wszystkim – czasochłonna. Zatrzymujemy pierwszy samochód, którym podróżują dwie młode Angielki. Eckart zabiera nasze zapasowe koło i jedzie z nimi do Kafue, my zostajemy do pilnowania naszych rzeczy, a jest ich sporo. Tom i ja idziemy obejrzeć dziurę, która przysporzyła nam tyle kłopotów. Jest to prawdziwy „pothole”, z którym Nissan poradził by sobie bez trudu, jednakże Nubira nie jest samochodem przystosowanym do pokonywania takich niespodzianek. Mija nas kilka potężnych ciężarówek załadowanych grubymi płytami miedzi – głównego bogactwa naturalnego Zambii.

Gdy siedzimy na poboczu i czekamy na Eckarta, słyszymy donośne „łup” i na poboczu zatrzymuje się kolejny samochód. To niesamowite – wpadł w tę samą dziurę! Żeby było jeszcze śmieszniej (?) – jadą nim również biali, zaś auto pochodzi z tej samej wypożyczalni, z której Jola i Eckart wzięli nasze Daewoo. Oni jednak mieli więcej szczęścia - awarii uległo tylko jedno koło, w identyczny jak u nas sposób, czyli przez pocięcie felgi. Zmiana koła zajmuje im niespełna kwadrans i mogą ruszać dalej.

Eckart wraca taksówką po mniej więcej godzinie. Taksówkarz zgadza się tymczasowo użyć swej „zapasówki”, tak by Eckart mógł dojechać Nubirą ponownie do Kafue. Ja również jadę tam na tylnym siedzeniu taksówki, w której bagażniku spoczywa jedno z naszych uszkodzonych kół. W Kafue czekam chwilę na Eckarta, a gdy pojawia się, udajemy się do warsztatu naprawczego, który jest zwyczajną, skleconą z desek budą stojącą na środku pylistego, ubitego placu, między straganami z warzywami i wśród tłumu ludzi. Wokół warsztatu leży masa opon różnych marek i rozmiarów, niektóre zupełnie łyse, ale najwyraźniej mogące jeszcze znaleźć nabywców (w kraju, gdzie tankuje się 3 litry paliwa, wszystko

jest możliwe). Umorusany szef interesu sprawnie zajmuje się naszym kołem – na tyle, że po pięciu zaledwie minutach jest gotowe do założenia; śladu po wgnieceniu prawie nie widać. Na szczęście obręcz wykonana jest ze stali, z aluminiową nie byłoby tak łatwo. Dla pewności sprawdza jeszcze szczelność opony. Kontrola wypada pomyślnie. Podczas gdy zmieniamy użyzione nam przez taksówkarza koło na świeżo wyklepane, do naprawy wędruje drugie. Robotą odbywa się na zasadzie „jeden pracuje, drugi podaje narzędzia, dziesięciu asystuje”. Częstość nas kawą (przynajmniej tak mi się wydaje; płyn ma kawopodobną konsystencję i barwę) z żółtego plastikowego pojemnika, który bardziej przypomina baniak na olej, ale grzecznie odmawiamy, gdyż w ich propozycji nie ma złośliwości. Należności uregulowane, koła naprawione – możemy wracać po „naszych”.

Dalsza trasa jest spokojna, jedziemy ostrożniej, wypatrując zdradliwych niespodzianek. Teren staje się coraz bardziej pagórkowaty, przez dużą część drogi, właściwie aż do samego jeziora Kariba towarzyszą nam dwie potężne, biegnące równolegle do siebie linie energetyczne, zaopatrujące w energię większość kraju. Początek biorą w elektrowni wodnej w miejscowości Kariba, leżącej nad samym jeziorem.

Krótko przed zjazdem z głównej drogi na szosę prowadzącą bezpośrednio do Siavonga (taką nazwę nosiła nasza docelowa miejscowość) zatrzymujemy się na pół godziny przy „Chirundu Fossil Forest”, czyli skamieniałym lesie w okolicach miejscowości Chirundu. Ścieżka prowadzi wśród skamieniałych pni drzew, niektórych całkiem sporych, o dobrze widocznych włóknach i słojach i czerwonym zabarwieniu. Wiek lasu ocenia się na około 150 milionów lat.

Później przed nami już tylko odcinek do Siavonga, przerywany krótkimi postojami na pstryknięcie kilku zdjęć. Po drodze handlarze oferują nam ametysty różnej wielkości i jakości. Interesuje nas jednak coś innego: owoc baobabu, który – jak twierdzi usiłujący nam go sprzedać chłopiec – jest jadalny. Przy potrząśnięciu słychać grzechot. „Cóż, spróbujemy” - stwierdzamy i kupujemy dwie sztuki.

Droga jest niezwykle urokliwa, bardzo przypomina mi moje rodzinne strony - Przedgórze Sudeckie i same Sudety. Barwy liści na drzewach porastających strome zbocza gór nieodparcie przywodzą nam na myśl polską jesień. Szosa wiję się serpentynami, wznosząc się i opadając. Jeśli spojrzeć na mapę, widać na niej, że zjeżdżamy właśnie z rozległej, pofałdowanej wyżyny pokrywającej większość kraju ku nizinie, w której najniższej położonych obszarach płynie rzeka Zambezi.

Na niej właśnie znajdują się Wodospady Wiktorii oraz jezioro Kariba.

Już kilka kilometrów przed Siavonga udaje nam się dojrzeć rozległe wody jeziora. W końcu dojeżdżamy do campingu o nazwie „Eagle’s Rest”. Zapada już zmierzch, zatem szybko rozstawiamy namioty (praktyka czyni mistrza, jak mówi przysłowie) i postanawiamy zwiedzić okolicę campingu. Nasze namioty stoją zaledwie pięć metrów od brzegu, szum fal przypomina pobyt nad morzem.

Trafiamy do restauracji, gdzie właśnie szykowane jest przyjęcie na wolnym powietrzu. Zamierzamy się do niego przyłączyć, o ile tylko będzie taka możliwość. Okazuje się, że owszem, należy „jedynie” uiścić opłatę w wysokości 10 \$ i można zabrać się do konsumpcji. Jednakże do chwili, w której stół zostanie udostępniony do eksploracji jest jeszcze nieco czasu. Jest już zupełnie ciemno, nad głowami mamy mrowie gwiazd. Tom i ja postanawiamy wykorzystać wolną chwilę na opróżnienie butelki „Mosi” prosto z łódki nad samym brzegiem jeziora, patrząc na zapalające się po kolei w różnych miejscach nad brzegiem światła obozowisk podobnych do naszego. Inne światełka powoli przesuwają się na tle horyzontu – przypuszczamy, że są to statki.

Pół godziny później ustawiamy się w kolejce do sporego rusztu, na którym kusząco skwierczą okazałe steki. Inne czekające na nas atrakcje to różne rodzaje kiełbasek, wędlin, sałatek, surówek i innych przekąsek. Najadamy się do syta w towarzystwie grupy zachodnich turystów, siedząc skromnie w cieniu i popijając następną butelkę zimnego piwa. Miriam chlapie się w basenie. Po pewnym czasie postanawiamy opuścić imprezę i udać się na spoczynek.

Rozdział 14

Dzień 14 – 23. czerwca, sobota

Budzi nas szum fal i Słońce zagląające do namiotu. Wstajemy i po krótkiej toalecie zabieramy się do zwijania naszego małego obozowiska. Tom i ja spisujemy kolejną porcję wspomnień do naszego dziennika, po czym, mając jeszcze wolną chwilę, postanawiamy dobrać się do wnętrza kupionego wczoraj owocu baobabu. Nie jest to łatwe, skorupa jest twarda niczym w orzechu kokosowym. Z pomocą przychodzi nam Eckart i jego szwajcarski scyzoryk z piłką. Zawartość wprawia nas w zdumienie. Białe, bezkształtne bryłki przypominające drobnoziarnisty styropian. Chłopak, który sprzedał nam to dziwo, twierdził, że owoc należy trzymać w ustach aż do rozpuszczenia. Jego kwaskowaty smak ma powstrzymać pragnienie. Faktycznie, smak jest nieco dziwny i niepodobny do niczego, co znamy z dotychczasowego doświadczenia. „Nic specjalnego” – stwierdzamy jednogłośnie.

Po opuszczeniu „Eagle’s Rest” kierujemy się do odległej o kilka zaledwie kilometrów miejscowości Kariba. Naszym celem jest dzisiaj potężna tama na jeziorze. Aby dostać się na drogę biegnącą po koronie zapory, musieliśmy uzyskać specjalny papierek w placówce kontroli granicznej. Dlaczego? Otóż północna połowa tamy formalnie należy do Zambii, południowa zaś do Zimbabwe. Czas na skreślenie kilku zdań o samym zbiorniku. Jest to największe pod względem objętości sztuczne jezioro na Ziemi, zbudowane przez Brytyjczyków w połowie XX wieku i uroczyście otwarte w maju 1960 roku przez królową Elżbietę (Zambia była kolonią brytyjską do 1967 roku). Tama powstrzymuje 130,6 kilometrów sześciennych wody. Jest to ilość, jaka zmieściłaby się w „kostce” o boku 5 kilometrów! W szerszym miejscu jezioro ma ponad 30 km szerokości, średnio zaś 12 kilometrów. Jego długość wynosi 280 km. Betonowa zapora ma kształt łuku, długość ponad 600 metrów, niemal 130 metrów wysokości, 24 metry szerokości u podstawy i 13

metrów w koronie. Jej ogromu nie da się objąć wzrokiem, o obiektywie aparatu fotograficznego nie wspominając. O jej kolosalności świadczy widok kropel wody opadających niczym na zwolnionym filmie z jednej z nieszczęsnej grodzi, którą spuszcza jest nadmiar wody w okresie wzmożonych opadów. Poniżej zapory widać ujście wody, która wytwarza prąd w dwóch elektrowniach: jednej należącej do Zambii, drugiej do Zimbabwe. Łącznie są one w stanie wygenerować 1,3 gigawata energii elektrycznej! Całość robi doprawdy niezwykle wrażenie.

Po napatrzeniu się do syta na jezioro i zaporę oraz wykonaniu serii zdjęć obieramy kierunek na Lusakę. Jola, Eckart i Miriam odlatują dziś w nocy do Frankfurtu. My natomiast zamierzamy wybrać się jutro do Livingstone, nad Wodospady Wiktorii.

Do Lusaki docieramy po południu, tym razem bez przykrych niespodzianek. Po drodze zatrzymujemy się na przydrożnych targowiskach, by pooglądać inne, jeszcze większe niż ta, którą właśnie wieziemy, drewniane żyrafy. W „Peace Gardens” spotykamy Arka i Sebastiana, którzy dzień wcześniej wrócili z wyprawy na zaćmienie, które oglądali z miejsca, które było naszym pierwotnym celem – okolicy miasta Balovale. Przyłączyli się do międzynarodowej wyprawy ludzi od kilki miesięcy podróżujących ciężarówką przez całą Afrykę. Bez namysłu zgadzają się jechać jutro z nami do Livingstone.

Tym razem postanawiamy nie rozbijać namiotów, lecz wynająć jeden pokój dla nas czterech – składanie mokrego namiotu o godzinie piątej rano nie wydaje się nam najlepszym pomysłem, szczególnie, że od pewnego czasu jest już ciemno.

Wieczorem żegnamy się z Eckartem, Jolą i Miriam. Ich czas w Zambii dobiegł końca. Gdy wyjeżdżają, Arek, Sebastian, Tom i ja zaczynamy się przepakowywać, by w jutrzejszą podróż zabrać ze sobą jak najmniej zbędnych rzeczy. Później zapadamy w głęboki sen – musimy wstać wcześniej rano, by zdążyć na autobus.

Rozdział 15

Dzień 15 – 24. czerwca, niedziela

Budziki odzywają się jeden po drugim o piątej. Wstajemy i zabieramy się do wykonywania zwyczajnych, porannych czynności. Szybko pałaszujemy chińskie zupki z torebek, zbieramy plecaki, namioty, sprzęt fotograficzny i ruszamy w kierunku dworca autobusowego. Miasto jest jeszcze puste o tej porze, widzimy tylko nielicznych przechodniów i samochody. Na dworzec docieramy krótko przed szóstą – w samą porę, by dowiedzieć się, że nie uda nam się załapać na najbliższy luksusowy autobus do Livingstone. Następnego możemy oczekiwać dopiero o trzynastej. Próbujemy zatem w innym miejscu. Nic z tego. Nagle Sebastian przynosi skądś wiadomość, że za kilka minut odjeżdża do Livingstone mikrobus – taki sam, jaki wynajęliśmy na zaćmienie. Chociaż niektórzy odradzają nam podróż nim, decydujemy się i kupujemy cztery bilety za 38 tysięcy *kwacha* każdy. Miejsce w luksusowym „coach’u”, który właśnie odjechał, kosztowało zaledwie dwa tysiące więcej. Trudno, jakoś sobie poradzimy. Umieszczamy nasze bagaże gdzie się da: plecak ubijam w dwudziestocentymetrowej przestrzeni między tylną szybą a rzędem siedzeń, namiot pod nogi, karimaty pod twarde kanapy... Wszystkie dwadzieścia sześć miejsc jest zajętych, łącznie z krzeselkami rozłożonymi między siedzeniami. Na moje nieszczęście pozostaje mi jedynie miejsce w samym rogu długiej kanapy na końcu pojazdu, przy szybie. Przede mną siedzi Arek i Tom. Podczas zajmowania miejsc rurki, na których opiera się ich kanapa zgięły się – początkowo tylko nieznacznie, jednak bardzo szybko zaczęły uciskać mi kolana i nogi z taką siłą, że musiałem odpychać oparcie rękoma i blokować je zwiniętą w rulon, sztywną karimatą. Przez pierwszą godzinę jakoś wytrzymuję, jednak później uczucie zgniatania zaczyna być naprawdę dokuczliwe i nieprzyjemne. Gdy pomyślałem, że czeka nas co najmniej sześć godzin takiej podróży, po plecach przeszedł mi ciarki. Wyprostować nogi dane mi jest dopiero na pierwszym krótkim postoju,

na którym pasażerowie mogli załatwić potrzeby fizjologiczne oraz kupić coś do jedzenia („coś” – czytaj: kurczak z frytkami. . .). Niejaką ulgę czuję dopiero, gdy dwoje pasażerów z mojego rzędu wysiada na kolejnym przystanku i mogę zająć bezpieczne miejsce za fotelem Sebastiana. Arek i Tomek w tym czasie siedzą już praktycznie na podłodze – rurki po prostu złożyły się pod ich ciężarem.

Gdy docieramy w końcu do Livingstone, jesteśmy tak wykończeni, że nie chcemy nawet się zwiedzać miasta. Natychmiast wynajmujemy taksówkę i każemy zawieźć się na camping o nazwie Waterfront – miejsce to polecili nam Jola i Eckart. Od wodospadów dzieli nas około dziesięciu kilometrów, dlatego umawiamy się z taksówkarzem na poranny kurs.

Opłata za pobyt na campingu to standardowe pięć dolarów od osoby za noc. Pracownik prowadzi nas poprzez starannie utrzymane i przystrzyżone trawniki do miejsca, w którym możemy rozbić namioty. Dookoła widać także wysokie, obszerne namioty postawione na stałe na drewnianych podestach, wyposażone w niskie łóżka i energię elektryczną, zamykane na niewielkie kłódki. Arek i Sebastian postanawiają natychmiast wybrać się do wodospadów na piechotę – w końcu jutro muszą wracać do Lusaki. Tomek i ja postanawiamy odpocząć i wybrać się tam jutro z samego rana, aby zobaczyć wschód Słońca nad wodospadami.

Zmierzch zapada bardzo szybko. Zasiadamy w restauracji położonej urokliwie nad samą rzeką Zambezi, pijemy zimne „Mosi” i obserwujemy potężną, wysoką zapewne na setki metrów chmurę wody unoszącą się nad wodospadami, które widać z tarasu nad rzeką. Chmura mieni się czerwonym i niebieskim światłem, sprawiając wrażenie, że wodospad jest sztucznie podświetlony. Nazajutrz okaże się, że to tylko złudzenie spowodowane barwą i ustawieniem świateł blisko przejścia granicznego.

Po pewnym czasie Sebastian i Arek wracają i dzielą się z nami swoimi wrażeniami. Arek postanawia wybrać się z nami rano, by uwiecznić na kliszy wschód Słońca. Znużeni męczącą podróżą postanawiamy wcisnąć się do śpiworów i udać do królestwa Morfeusza.

Rozdział 16

Dzień 16 – 25. czerwca, poniedziałek

Zrywamy się wcześniej rano – szkoda czasu na sen w miejscu takim jak to. Nie możemy wprost uwierzyć, że jeden z cudów świata przyrody jest odległy o zaledwie kilkanaście minut jazdy samochodem. Sebastian zostaje, by spakować rzeczy, zaś Arek wraz z nami wsiada do czekającej już taksówki, która wiezie nas do wodospadu. Z dala widzimy chmurę wody, którą wczoraj dostrzegliśmy z Waterfront.

Na miejscu uiszczamy opłatę za wstęp równą 10 \$ (Arkowi udaje się przekonać strażników, by wpuścili go na podstawie wczorajszego biletu; Tom i ja mamy zamiar wykonać podobny manewr). Nareszcie jesteśmy za bramą. Huk spadającej wody słychać już tutaj. Potężnieje z każdym krokiem. Podczas gdy Arek szuka sklepu, w którym mógłby kupić nową kliszę, Tomek i ja idziemy obejrzeć wodospad z bliska. Słońce wschodzi za naszymi plecami, produkując przepiękną tęczę. Tomek jest zachwycony, biega i pstryka jedno zdjęcie za drugim. Ogromne wrażenie robi także skąpany w ciepłym świetle wschodu most nad rzeką Zambezi.

Gdy czekamy na taksówkarza, z którym jesteśmy umówieni na kurs do Livingstone, podchodzi do mnie jeden z licznych sprzedawców pamiątek, podaje rękę, pyta o imię i namawia do obejrzenia wystawionego towaru. W tej chwili nie mamy jednak czasu na zakupy, obiecuję jednak, że wrócimy wieczorem.

Nadchodzi moment, w którym musimy zająć miejsca w taksówce i wrócić do Waterfront po Sebastiana. Postanowiliśmy bowiem jechać z chłopakami do Livingstone (miasto leży około 10 km od wodospadów), kupić miejscówkę na jutrzejszy autobus i wrócić do wodospadów, by spędzić przy nich cały dzień. Tak też robimy. Niestety, nasze próby nabycia biletu u siedzącego w budce mężczyzny sprawiającego wrażenie, jakbyśmy niezmiernie przeszkadzali mu w leniwym przeciąganiu się, kończą się niepowodzeniem i niezmiennym stwierdzeniem: „bi-

lety można kupować najwcześniej dziesięć godzin przed odjazdem autobusu”. Zgrzytamy zębami, ale nie możemy nic na to zaradzić. Żegnamy się zatem z Sebastianem i Arkiem, którzy w nocy odlatują do Polski, po czym wsiadamy do taksówki i wracamy do wodospadów. Jednakże zanim wyjedziemy z miasta, czeka nas „tankowanie w locie”. Co to znaczy? Otóż na dany przez kierowcę znak podbiega do nas mężczyzna z foliową torbą skrywającą pięciolitrową plastikową bańkę z benzyną. Tankowanie trwa zaledwie kilkanaście sekund (uzupełnienie dwóch litrów nie może zająć wiele czasu. . .), pieniądze przechodzą z ręki do ręki i już bez przeszkód możemy jechać naprzód.

Tym razem nam udaje się przekonać strażników sprzedających bilety, by wpuścili nas na podstawie tych samych, które kupiliśmy rano. W drodze do wodospadów zatrzymujemy się na moment przy nieco zaniedbanym pomniku ku czci ludzi pochodzących z tych terenów (dawnej Rodezji Północnej), poległych podczas I wojny światowej.

Teraz przed nami tylko Wodospady Wiktorii. Trudno jest ubrać w słowa potęgę i surowe piękno tego cudu natury. Nakazanie autorowi opisanie tego miejsca jest równie niewdzięczne i nieudolne, jak domaganie się opisu zaćmienia. Nieudolne – bo wie, że jakkolwiek by się nie starał, nie uda mu się przekazać nawet części wrażeń, jakie atakują wszystkie zmysły natychmiast po dotarciu w pobliże wodospadu. Kronikarski obowiązek nakazuje jednak zmierzyć się z tym wyzwaniem.

Rzeka Zambezi rozlewa się w tym miejscu na około dwa kilometry, będąc granicą Zambii i Zimbabwe. Do Zambii należy około sześćsetmetrowy odcinek wodospadu. Chmurę drobniutkich kropelek wody rozbitej u dołu stumetrowej przepaści, w którą z ogromnym hukiem spada masa wody, dostrzec można z odległości kilkunastu kilometrów. Miejscowa nazwa wodospadu to Mosi-oa-Tunya, czyli „grzmiąca woda” (na etykietce od piwa „Mosi” uwiecznione są właśnie Wodospady).

W bezpośredniej bliskości wodospadu oddech staje się ciężki i świszczący. Wdychanie i wydychanie powietrza są niezwykle utrudnione i na dłuższą metę uciążliwe, powietrze jest bowiem przesycone parą wodną. Słońce dokłada swoje pięć groszy, powodując, że człowiek czuje się jak w parnych i gorących tropikach. Nie bezpodstawnie – na zboczach kanionu występuje roślinność typowa dla lasu tropikalnego. Ciało jest na przemian mokre od potu i spadającej z najmniej

oczekiwanego kierunku wody, z którą igrają niezwykle zmienne podmuchy wiatru. W niektórych miejscach wykonanie zdjęcia to prawdziwy wyścig z czasem, kompromis pomiędzy jakością a szybkością i... możliwość uszkodzenia sprzętu przez wszędobylski deszcz. Gdy wiatr zawieje w dobrą stronę i odsłoni Wodospady, należy błyskawicznie wydobyć spod peleryny przeciwdeszczowej (można ją wypożyczyć lub kupić na miejscu) aparat, skadrować obraz, ustawić parametry zdjęcia i pstrykać. Czasem, by móc zrobić jedno zdjęcie, trzeba kilkakrotnie wyciągnąć i schować aparat, czekając kilka minut na sprzyjający wiatr.

Nie wszędzie jednak jest to tak wymagające. Większość miejsc jest „bezpieczna” i można długo stać opierając się o solidną barierkę i przyglądając pracy wody. Zależnie od położenia Słońca nad horyzontem najrozmaitszych miejscach pojawia się urodziwa tęcza. Zbocza kanionu oświetlone są pod różnym kątem i z różną intensywnością, roślinność błyszczy od kropel – wszystko to sprawia, że można przy wodospadzie spędzić wiele godzin, nie nudząc się ani przez chwilę.

Udaje się nam podejść zaledwie 10 metrów od progu wodospadu – z brzegu schodzimy po prostu na jeden z olbrzymich głazów, których mnóstwo wystaje z wody. Ciekawe, za ile stuleci ten kamień znajdzie się na dnie kanionu? Spadające z wysokości 100 metrów masy wody powodują bowiem powolne cofanie się progu wodospadu.

Postanawiamy przespacerować się po okolicy i obejrzeć wodospad z różnych stron. Nad naszymi głowami niestrudzenie krążą śmigłowce, których warkot ginie jednak w huku wody. Kilkunastominutowy lot zapewne słono kosztuje, jesteśmy jednak przekonani, że warto zobaczyć Wodospady z lotu ptaka. Doszczętnie zmoczeni docieramy do bardzo wąskiego i niezmiernie śliskiego stalowego mostka długości kilkudziesięciu metrów. Gdy jesteśmy w połowie jego długości, wiatr zmienia na chwilę kierunek i dany nam jest ujrzyć zapierający dech w piersiach widok Wodospadów od frontu. Po chwili jednak musimy prędko chować dopiero co wydostany spod ubrania sprzęt fotograficzny i uciekać – w chmurze wody trudno oddychać, nie mówiąc o zobaczeniu czegokolwiek. Posuwamy się niemal po omacku i docieramy w końcu do miejsca o nazwie Knife Edge Point – niewielkiej samotnej skały wyrastającej z dna kanionu.

Nie wytrzymujemy tam zbyt długo – chcemy oglądać wodospad, a nie wciąż moknąć i zmuszać swoje płuca i serce do wzmożonego wysiłku. Błąkamy się zatem po ścieżce wzdłuż kanionu, ciągle nie mogąc wyjść z podziwu nad siłami

drzemiącymi w Naturze i zastanawiając się, jak wygląda wodospad podczas pory deszczowej, gdy wody w rzece jest znacznie więcej. W pewnej chwili docieramy do miejsca, z którego doskonale widać łuk stalowego mostu granicznego, spinającego brzegi kanionu. Tam po raz pierwszy dostrzegamy maleńką figurkę odrywającą się od mostu i spadającą ku rzece na łeb, na szyję. Samobójca? Nie, to po prostu kolejna atrakcja Wodospadów – do niedawna najdłuższa na świecie, 111-metrowa lina do skoków *bungee*. Z ust Toma wyrywa się westchnienie – on też ma zamiar stać się jednym z ludzi, którym dane było stanąć na krawędzi zawieszzonego nad rzeką Zambezi mostu, spojrzeć w ziejącą poniżej, ponad stumetrową otchłań i - skoczyć.

Ścieżka kończy się. Postanawiamy zawrócić i wejść na most. Aby to zrobić, należy przekroczyć granicę. Zanim jednak dojdziemy do niej, jesteśmy zmuszeni ujarzmić stadko pawianów, które przyczepiły się do nas i nie odstępują ani na krok. Nie wygląda to ciekawie – małpy stają się natarczywe. Sytuację ratują rzucone daleko kawałki chleba, którego mamy pod dostatkiem i jeden ze strażników terenu wokół Wodospadów. Wystarczyło, by tupnął nogą i udał, że schyla się po kamień, a małpy natychmiast skryły się w krzakach. Teraz już bez przeszkód możemy udać się do przejścia granicznego. Widzimy tam pawiany przechadzające się między ludźmi i skaczące po dachu budynku straży granicznej. Na przejściu czeka sporo miejscowych, przekraczających granicę nie na podstawie paszportu, ale wyświechtanej kartki, na której widnieje masa pieczętek. Tłumaczymy, że nie mamy zamiaru przekraczać granicy, a jedynie wejść na most. Kobieta w mundurze siedząca po drugiej stronie szyby nie robi nam żadnych problemów. Widocznie często zdarza się taka sytuacja. Musimy jedynie zostawić swoje paszporty i już możemy spokojnie przejść przez bramkę strzeżoną przez uzbrojonych żołnierzy.

Wzdłuż drogi, w wykopanym po jej lewej stronie wąwozie, biegnie linia kolejowa zbudowana przez Brytyjczyków na początku XX wieku. Za zakrętem, kilkaset metrów od granicy, zaczyna się most, oddany do użytku w 1904 roku. Na jego środku (most ma około 200 metrów długości) widzimy mały zadaszony pomost, z którego właśnie skacze kolejny śmiałek. Chwilę patrzymy, jak przebiegają przygotowania do skoku, po czym Tomek idzie się zarejestrować. Podążam rzecz jasna za nim. W domku stojącym powyżej krawędzi kanionu Tomek wnosi opłatę za skok (90 \$), zostaje zważony i - po przypisaniu kolejnego numeru – może udać się na most, by oczekiwać na swoją kolejkę. Kolejne skoki odbywają się średnio

co 8-10 minut.

Przypatrujemy się skaczącym ludziom i głębokiemu kanionowi z rwącą wodą w dole. Wodospady mamy za plecami, wiatr przynosi wodną mgiełkę, a Słońce produkuje piękną tęczę. Wygląda to tak, jakby ludzie skakali w środek kolorowego łuku w dole.

Następny skok należy do Tomka. Oddaje mi na przechowanie wszystkie drobne przedmioty, jakie mógłby stracić: saszetkę z dokumentami, okulary przeciwsłoneczne, zegarek. . . Podczas gdy Tom zakłada uprząż i słucha wskazówek ludzi z obsługi, ja staram się znaleźć dobrą pozycję do zrobienia zdjęcia.

Tomek staje na krawędzi pomostu i spogląda przed siebie. Aparat mam ustawiony na niego. „Three, two, one, bungee!” – rozlega się chóralny okrzyk obsługi, ale Tomek skacze wcześniej, niż słowa te zdążyły wybrzmieć. Zdjęcia nie będą udane, tego jestem pewien.

Widzę Tomka bujającego się na długiej linie i machającego rękoma. Przez obiektyw o długiej ogniskowej doskonale widzę szeroki uśmiech na jego twarzy. W tym czasie na stalowej linie opuszcza się już jeden z ludzi z obsługi, podpina do Tomka i wyciągarka transportuje ich obu w górę, na pomost techniczny mostu.

Tomek pojawia się po kilku minutach. Jest uśmiechnięty i zadowolony. Jego marzenie się spełniło. Ponownie udajemy się do domku, w którym dokonywane są zapisy i oglądamy kasetę wideo z zapisem wyczynu Toma. Można ją nabyć za „jedyne” 40 \$, pamiątkowa koszulka kosztuje „tylko” 15. . . Tom kupuje i jedno, i drugie. Dowiadujemy się, że po kupieniu kasety drugi skok można wykonać za darmo. Tomek próbuje oddać swój skok mnie (chętnie skoczyłbym z mostu, ale ciągnę już na resztkach pieniędzy), okazuje się to jednak niemożliwe.

Jako że jest już późno, Tomek proponuje dość ryzykowne rozwiązanie: jutro rano jedziemy do Livingstone, kupujemy bilety na popołudniowy autobus, wracamy na most, by Tom mógł oddać drugi skok i ponownie jedziemy do Livingstone, by zdążyć na autobus do Lusaki. W nocy natomiast wylatujemy z powrotem do Europy.

Nie możemy zapomnieć o złożeniu wizyty u sprzedawców pamiątek. Każdy z nich specjalizuje się w pewnym rodzaju wyrobów lub odmiennym materiale. Jedni rzeźbią w drewnie, inni produkują fajki wodne rozmaitych rozmiarów, kolejni są mistrzami w produkcji naczyń z nefrytu czy miedzi. . . Naprawdę trudno zdecydować się na konkretny przedmiot. Piękną pamiątkę można nabyć poprzez

zaoferowanie. . . zaopatrzonej w ciekawy napis koszulki z krótkim rękawem. Niestety, nie mam żadnej przy sobie – nasze plecaki zostały w Waterfront.

Wart osobnego opisu jest sposób dokonywania zakupów. Najpierw należy się spokojnie rozejrzeć i być przygotowanym na żarliwe namowy do nabycia tej czy innej rzeczy, w trakcie których sprzedawcy wiernie sekundują inni handlarze – za chwilę oni otrzymają wsparcie w swoich zabiegach o uczynienie ze mnie swego klienta. Targi są gorące – sprzedawca najpierw wymienia cenę, nie spuszczając przy tym oczu z mojej twarzy (nie omieszkał wcześniej podsunąć mi niewielkiego stołeczka do siedzenia), jakby wstydząc się zaproponowanej ceny. Gdy prychem i proponuję swoją cenę, sprzedawca zaczyna przekonywać, ile pracy w to włożył, jak liczną ma rodzinę, ile osób żyje z jego pracy. . . Kiedy usiłuję wstać, sprzedawca natychmiast zmienia front – namawia mnie do pozostania i oferują nową, niższą od początkowej, jednak większą od zaproponowanej przeze mnie cenę. Tak odbywa się cała ceremonia zakupów. Po nabyciu jednego przedmiotu natychmiast zostaje mi zaoferowany następny i kolejny. . . Wstaję i dziękuję sprzedawcy za udaną transakcję, ale niemal natychmiast podchodzi do mnie inny i cichym głosem namawia, bym „jedynie rzucił okiem” na dzieło jego rąk. Po nim następny i kolejny. . . Teraz już wiem, jaką przyjemność daje targowanie się i rozumiem, dlaczego handlarze z krajów Afryki czy Azji nie lubią turystów z wypchanymi portfelami, którzy bez mrugnięcia okiem płacą pierwszą zaproponowaną przez handlarza cenę, chociażby przedmiot był wart dziesięciokrotnie mniej.

Taksówką wracamy na camping i umawiamy się z kierowcą na poranny kurs. Zmęczeni całodzienną wędrówką i kolejną porcją intensywnych wrażeń zasiadamy w restauracji nad rzeką. Tomek stawia dzisiejszą kolację. Wybieramy stek z krokodyla.

Po kilkunastu minutach stoją przed nami talerze z kawałkiem mięsa, ryżem i ostrym sosem. Mięso jest smaczne, aczkolwiek jak na mój gust zbyt wiele w nim kości. Niemniej jednak teraz mogę powiedzieć: „jadłem krokodyle mięso, i to w sercu Czarnego Łądu”.

Po kolacji siedzimy jeszcze chwilę nad brzegiem Zambezi, po czym niespiesznym krokiem udajemy się do namiotu. Jutro nasz ostatni dzień w Afryce.

Rozdział 17

Dzień 17 – 26. czerwca, wtorek

Ranek wita nas Słońcem. Wstajemy nie ociągając się ani minuty. Mamy godzinę na poranną toaletę, jedzenie, pakowanie i zwinięcie namiotu. O ósmej w pełnym rynsztunku wkraczamy na parking przed Waterfront, gdzie czeka na nas taksówka. Jedziemy najpierw do Livingstone, gdzie kilkanaście minut zajmuje nam zakup biletu. Tym razem udaje nam się dostać miejsce w dużym, luksusowym autokarze. Nie zwlekając, wsiadamy do następnej taksówki i jedziemy do Wodospadów. Bez przeszkód przechodzimy przez granicę i po dotarciu do mostu Tomek idzie się zarejestrować. Na górze z niejakim przerażeniem stwierdzamy, że zapomniała nam się foliowa torba z wszystkimi kupionymi wczoraj pamiątkami. Odtwarzamy w myślach przebytą dziś drogę i dochodzimy do wniosku, że torba została najprawdopodobniej na ławce przy kasie biletowej w Livingstone. „Jechać, nie jechać...” – zastanawiamy się. „Pewnie ktoś już ją wziął” – myślimy, ale w końcu dochodzimy do wniosku, że spróbować można. Wracam zatem na przejście graniczne i tłumaczę zdziwionemu mężczyźnie w okienku, dlaczego wracam tak prędko. Wsiadam do najbliższej taksówki i ordynuję kurs do miasta. Każda taka przejażdżka kosztuje 20 tysięcy *kwacha*. Po kwadransie zajeżdżamy na przystanek autobusowy, gdzie już z daleka dostrzegam leżącą spokojnie brunatną foliową torbę. Nie do wiary! Chwytam ją i już siedzę w taksówce. „Wracamy do Wodospadów” – mówię do kierowcy. Kręci głową z niedowierzaniem, ale jedzie posłusznie. Taki kurs nie trafia mu się zapewne codziennie.

Znowu przekraczam granicę. Urzędnik podnosi ze zdumieniem brwi, ale nie mówi, przyjmując ode mnie paszport. Szybkim krokiem wchodzę po drewnianych schodach w miejsce, gdzie umówiłem się z Tomkiem. Z triumfem pokazuję mu torbę. On też nie dowierza naszemu szczęściu.

Tomek jest jednym z pierwszych dzisiejszych skoczków. Tym razem udaje mi

się zrobić dobre zdjęcie – dokładnie w chwili, w której Tom wybija się z pomostu, ubrany w kupioną wczoraj koszulkę. Po skoku idziemy po nagranie wideo i... drugą koszulkę. Teraz możemy spokojnie jechać do Livingstone.

Mamy jeszcze trochę czasu przed odjazdem autobusu. Chodzimy chwilę po ulicach, zaglądamy do sklepów, zasiadamy też na kwadrans przed monitorem komputera, by wysłać wiadomości do rodziny i przyjaciół w Polsce. W restauracji na wolnym powietrzu zamawiamy frytki i colę, robimy zakupy na kilkugodzinną drogę do Lusaki...

O trzynastej odjeżdżamy. Autobus jest luksusowy, wyposażony w klimatyzację. Jadą nim niemal wyłącznie biali turyści. Jednak pomimo wszelkich wygod klimat podróży nie umywa się nawet do tego, jaki czuliśmy podczas jazdy małym, ciasnym autobusem do Livingstone dwa dni wcześniej. Po raz ostatni oglądamy Zambię przez okna: okrągłe chaty, ziemia o czerwonej barwie, kobiety z bagażami na głowach, bose dzieci bawiące się w przydrożnym pyłu i machające do nas przyjaźnie... Ostatni zachód Słońca podziwiamy również w drodze.

Do stolicy docieramy około godziny 19. W „Peace Gardens” spotykamy się z resztą naszej ekipy i przepakowujemy plecaki. Po skończonej pracy kupujemy dwie butelki „Mosi” i rozsiadamy się w bambusowych fotelach w ogrodowej altanie. W pewnej chwili przychodzi do nas właścicielka „Peace Gardens” i uroczyście wręcza każdemu z nas pamiątkę – niewielką siekierkę. Jesteśmy wzruszeni tym gestem, dziękujemy jej gorąco.

Na trawniku rozbija namioty grupa młodych Japończyków, z którymi prowadzimy długą rozmowę, przerwana dopiero przyjazdem taksówki mającej dowieźć nas na lotnisko. Ostatnie pożegnania z tym gościnnym miejscem, jakim jest „Peace Gardens” – i już jedziemy do portu lotniczego.

Tuż przed podejściem do odprawy celnej zauważamy brak jednego z plecaków, w którym schowany był teleobiektyw Tomka, sumiennie prowadzony dziennik wyprawy, notatki dotyczące zaćmienia i inne, mniej ważne drobiazgi. Jest już zbyt późno, by cokolwiek zrobić. Chcąc czy nie, musimy przeboleć tę stratę.

Rozdział 18

Dzień 18 – 27. czerwca, środa

Startując o godzinie drugiej w nocy, żegnamy spojrzzeniami uśpioną, gościnną Zambię. Czy uda nam się kiedyś tutaj wrócić...?

W Addis-Abebie lądujemy wcześniej rano. Następny samolot mamy dopiero za kilka godzin. Tymczasem obsługa lotniska podchodzi do nas i proponuje śniadanie. Zgadza się i idziemy zgodnie z udzielonymi wskazówkami. Okazuje się, że śniadanie czeka na nas w należącym do Ethiopian Airlines hotelu w centrum miasta. Autobusy już czekają na pasażerów. Przynajmniej ujrzymy kawałek Etiopii większy niż lotnisko, nawet jeśli całe „zwiedzanie” ma się odbyć przez okna autobusu. „Taka atrakcja na koniec pobytu” – cieszymy się.

Addis-Abeba jest zdecydowanie brudniejsza od Lusaki i sprawia bardziej przygnębiające wrażenie, chociaż wydaje się być ludniejsza niż stolica Zambii. Może to sprawa ubóstwa, jakie widzimy na ulicach, może wszechobecnych symboli i budowli z epoki komunizmu, może niezbyt przyjaznej pogody... Niemniej jednak śniadanie jest obfite i bardzo smaczne. Po posiłku autobusy zabierają nas z powrotem na lotnisko i możemy ponownie przystąpić do żmudnej procedury kontroli paszportów i bagażu przed wejściem na pokład.

Lot do Frankfurtu przebiega spokojnie. Tym razem oglądamy północną Afrykę w pełnym blasku dnia. Sączymy piwo i wspominamy kolejne dni naszego pobytu. Z nostalgią spoglądamy na niknący w dole Nil i wybrzeża Egiptu. Teraz przed nami już tylko Stary Kontynent. Kiedy znowu wrócimy na Czarny Łąd? Czyżby... na następne zaćmienie za półtora roku?

Późnym popołudniem samolot łagodnie dotyka betonowego pasa lotniska we Frankfurcie. Tam żegnamy się z Iwoną, Jackiem i Bohdanem, którzy przyjechali do Niemiec samochodem. Tom i ja mamy przed sobą całą dobę – dopiero jutro po południu jedziemy do Polski.

Po zostawieniu większości bagaży w skrytce na dworcu kolejowym postanawiamy poznać kawałek wieczornego Frankfurtu. Zmęczenie bierze jednak górę i udajemy się do schroniska młodzieżowego, w którym spędziliśmy noc przed wylotem. Po drodze nieco, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – nadal zwiedzamy miasto. Z ulgą wchodzimy pod prysznic – tego nam brakowało przez ostatnie kilka dni. Po zmyciu z siebie resztek afrykańskiego kurzu zapadamy w głęboki sen. Dziwne uczucie – po raz pierwszy od 2 tygodni w pościeli...

Rozdział 19

Dzień 19 – 28. czerwca, czwartek

Rano, po śniadaniu (wliczonym w cenę noclegu, jak uprzednio) idziemy do miasta. Mamy przed sobą cały dzień na zwiedzanie. Chcemy odwiedzić jakieś ciekawe muzeum albo - co byłoby jeszcze lepsze – planetarium. W poszukiwaniu tych przybytków wiedzy trafiamy do informacji turystycznej, w której dostajemy plan miasta. Pani, która pracuje w informacji, nie jest pewna, czy we Frankfurcie jest planetarium. Wydaje się nam to niemożliwe – w ojczyźnie planetariów, w dodatku w tak ważnym mieście nie ma takiej placówki? Trafiamy na wydział fizyki miejscowego uniwersytetu, gdzie zauważamy niewielką kopułę sterczącą ponad dachem. W sekretariacie podejrzania pani z informacji turystycznej niestety potwierdzają się – Frankfurt nie posiada planetarium, najbliższe znajduje się w Mannheim. Nie mamy jednak czasu tam jechać, postanawiamy odwiedzić zauważone na planie muzeum techniki.

Spacer w jego poszukiwaniu zajmuje nam około godziny. Na miejscu okazuje się, że nie jest to muzeum techniki w takim sensie, w jakim to sobie wyobrażaliśmy, a raczej coś, co można nazwać „muzeum złudzeń optycznych”. Na kilku piętrach bunkra z czasów II wojny światowej zgromadzone są dziesiątki holo- i stereogramów, łamigłówek, różnych „zabawek fizycznych”. Bardzo przyjemnie spędzamy w nim czas, świetnie się bawiąc i będąc właściwie jedynymi zwiedzającymi.

Po opuszczeniu muzeum nie spiesząc się idziemy w kierunku dworca kolejowego po bagaże. Po drodze kupujemy jedzenie na długą drogę do kraju. O osiemnastej podjeżdża nasz autobus. Z rozmów, jakie słyszymy, wnioskujemy, że jesteśmy jedynymi Polakami, którzy nie wracają z „arbeits”, a z wakacji. Reszta naszych rodaków to ludzie wracający z pracy, niektórzy obciążeni zakupami.

Droga jest monotonna, jak to zazwyczaj podczas jazdy autostradą. W milcze-

niu obserwujemy startujące i lądujące na frankfurckim lotnisku samoloty – nasza podróż nieubłaganie dobiega końca.

Rozdział 20

Dzień 20 – 29. czerwca, piątek

Granicę niemiecko-polską przekraczamy w Jędrzychowicach. Stąd już tylko przysłowiowy „rzut beretem” do Wrocławia, gdzie żegnam się z Tomkiem. Za trzy tygodnie spotkamy się znowu, by w górach, przy ognisku opowiadać naszym przyjaciółom o wyprawie i zaćmieniu.

Nie wyglądam na kogoś, kto wraca z Afryki. Kupuję po prostu bilet do Świebodzic, które tam, na Czarnym Łądzie wydawały się tak bardzo odległe, i znużony całonocną podróżą w autobusowym fotelu zajmuję miejsce w obskurnym, pomazanym farbą żółto-niebieskim pociągu. Wsiadam z niego kilka minut po siódmej, dwudziestego dnia naszej wielkiej wyprawy.

Schwytaliśmy księżycowy cień. Zobaczyliśmy Afrykę i zakochaliśmy się w niej bez opamiętania.

Jesteśmy w domu.